

● „BIJCIE POLSKICH PANÓW!” ● KTO NIE Z NAMI, TEN PRZECIWI NAM  
● LIST Z CHEŁMA ● W KOCKU ● W WILNIE ● NAD NIEMNEM ● MAŁE,  
CHORE SERCA ● ODEJŚCIE TOWARZYSZA WITOLDA ● KONIEC BWA?

TYGODNIK  
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

# relacje

LUBLIN, 19-25.10.1989 R.

NR 40

CENA 150 ZŁ

„Oni blegają za piwem, a ja biegam  
za interesem”

## KIEDY DOSTATEK ŻYWNOŚCI?

Andrzej W. Pawluczuk

**O** UPOŚLEDZENIU rolnictwa najlepiej mówią liczby. Dostarcza ono jedną szóstą dochodu narodowego i połowę wpływów z eksportu, ale zużywa niecałe sześć procent produkcji przemysłowej i zaledwie cztery procenty energii. A przecież to, że mamy dzisiaj w ogóle co jeść, zawdzięczamy polskiemu chłopu. Rozmyślnie mówię „chłop”, a nie „rolnik”, bo gdyby nasz chłop był tylko producentem, dawno machnąłby ręką i poszedł na łatwiejszy chleb do miasta. Gdyby nie kochał swojej ziemi i nie czuł się prawdziwym gospodarzem tego kawałka kraju, który użyźnia swoim potem...

A oto inne liczby. Nasz przemysł produkuje dzisiaj zdecydowanie mniej niż dwadzieścia (tak!) lat temu takich rzeczy, potrzebnych na co dzień w gospodarstwie wiejskim, jak: narzędzia podwórzowe, ogrodnicze i sadownicze, gwoździe, łańcuchy, naczynia, wiadra ocynkowane, cegły, gips budowlany, dachówki i pustaki stropowe. A z rzeczy grubszych: mniej pestycydów, maszyn i urządzeń dla przemysłu spożywczego i cukrowniczego. Produujemy za to pięć razy więcej niż w roku 1970 sprzętu górniczego i dwa razy więcej stuprocentowego kwasu siarkowego.

Czy mając takie dane pod ręką, trzeba jeszcze wybierać się na wieś i tam szukać odpowiedzi, dlaczego żywności mamy ciągle za mało i dlaczego jest ona droga? Dlaczego mleko przerabiamy na kazeinę zamiast na masło, a cielęta zarzynamy, miast wyhodować z nich dorodne byczki? A jednak udręka codziennego zaopatrzenia, powszechna złość i wyczerpywanie się społecznej cierpliwości skłoniły mnie, aby zbadać sprawę u samego źródła. Lubelszczyzna, jak napisał niedawno Józef Kuśmierek, ma wszelkie dane, aby kapać się w mleku i miodzie. Dlaczego więc jest zupełnie inaczej?

Inaczej? Lubelska wieś prezentuje się na pierwszy rzut oka korzystnie. W poniedziałek, 2 października, objechałem samochodem prawie cały teren dawnego powiatu kraśnickiego i opolskiego i na drodze nie widziałem ani jednej furmanki. Wykopki ziemniaczane odbywały się przy pomocy

traktorów i maszyn. Wieś jest murowana, dużo sadów, a przed domami widzi się piękne ogrody, przywołujące pamięć dawnych parków dworskich. Dużo się ostatnimi laty wybudowało i dużo buduje: domów i budynków gospodarczych. Te nowe domy bywają już wymyślne i wypieszczone jak w miastach, wyłożone wewnątrz boazerią i parkietami. A ludzie? Ludzie sympatyczni, mili, przyjmowali mnie gościnnie, a nawet wylewnie. To jest zupełnie inna wieś niż ćwierć wieku temu, kiedy z plecakiem i namiotem jeździłem rowerem po Lubelszczyźnie. Dzisiejszy chłop nie ma żadnych kompleksów, jest pewny siebie, świadom swojej siły politycznej i ekonomicznej. Czasy pomiatania polskim rolnikiem skończyły się bezpowrotnie i to jest główna przyczyna, że ten rolnik nie chce dzisiaj dostarczać żywności w zamian za bezwartościowy papier z nadrukiem NBP.

**T**UZ przed wjazdem do podkraśnickiego Wilkołaza zwracają moją uwagę nowe zabudowania z czerwonej cegły i nowy, jeszcze nie wykończony dom. Rozglądam się po podwórku. Pod wielką wiatą stoją maszyny i ciągnik. Po chwili drugim ciągnikiem z przyczepą nadjeżdżają gospodarze i zapraszają mnie do domu.

Państwo Lech i Maria Nowackowie są tutaj dopiero od czterech lat; w roku 1985 przyszyli na puste pole. Przedtem pracowali w PGR-ach, chyba nie najgorzej, skoro pan Lech dostał za tę pracę Srebrny Krzyż Zasługi. Teraz mają jedenaście hektarów ziemi (dobrej) i wszystko, co w gospodarstwie jest potrzebne, a więc oprócz dwóch traktorów, także kombajn zbożowy, siewnik, prasę do słomy, zbieracz i ładowacz do obornika. Specjalizują się w tuczu świń i uważają, że gospodarstwo specjalistyczne jest bardziej efektywne, bardziej dochodowe i łatwiejsze do prowadzenia. Z tych jedenastu hektarów sprzedają rocznie 12 ton żywcza wieprzowego (120 świń) i półtorej tony młodej wiołowy (z dwuletnich byczków).

Dokończenie na str. 5



Fot. Waldemar Stępień

## DRAMAT TEATRU

Violetta Krasnowska

MIEJSCE I CZAS AKCJI

**B**UDYNEK przy ul. Trybunalskiej 20 w Lublinie wielu kojarzy się wyłącznie z dawnym kinem „Staromiejskim”; zostały po nim zarzewiałe litery na frontonie, stare, zniszczone, bezużyteczne gabloty kinowe. Tymczasem ta wałaca się dziś ruina to najstarszy w Polsce, obok Teatru Starego w Krakowie, budynek

teatralny. Tym cenniejszy, że — w przeciwieństwie do krakowskiego — posiada niezmienny, oryginalny kształt architektoniczny.

Wybudował go w ciągu czterech miesięcy 1822 roku inżynier Łukasz Rodakiewicz oficer księcia Józefa Poniatowskiego. W tym teatrze stawiał pierwsze kroki w swojej karierze aktor-torskiej Jan Królikowski, grywał m.in.

Dokończenie na str. 8—9

## relacje

## ZE ŚWIATA

● Kierownictwo polityczne NRD, po niedawnych obradach Biura Politycznego KC NSPJ, wyraziło gotowość do rozmów z reformatorami, na temat koniecznych zmian. Jednakże nie widzi miejsca dla zmian w stylu radzieckim.

● Sekretarz generalny litewskiego „Sajudisu” V. Cepaitis, na konferencji prasowej w Wiedniu wyraził przekonanie, że dojdzie do „powstania w sposób pokojowy trzech nowych państw w regionie bałtyckim”. Ostatecznie powinno zdecydować o tym referendum. Mówienie o „wystąpieniu z ZSRR jest błędne. Litwa bowiem została w 1940 r. w sposób sprzeczny z prawem międzynarodowym zaanektowana przez Związek Radziecki. Dyskutować można więc najwyżej na temat przystąpienia do ZSRR” — stwierdził Cepaitis.

● Prof. T. Made z Tallina, deputowany ludowy ZSRR stwierdza na łamach szwedzkiej gazety „Svenska Dagbladet”: „Rosjanie powinni sami odczuć, że ich imperium się rozpada. Jest im potrzebny wstrząs, muszą zrozumieć, że nie są pępkiem świata. Nabrał bowiem złego przyzwyczajenia, by żyć na koszt sąsiadów. [...] Wkrótce nadejdzie chwila, gdy Gorbaczow będzie musiał wezwać do domów wszystkich żyjących w Estonii Rosjan, ich własne wsie stoją opustoszałe”.

● „Subytut Breźniewa” — pod takim tytułem ukazał się w węgierskiej gazecie „Maygar Nemzet” artykuł ostro krytykujący Rumunię za propozycję interwencji Układu Warszawskiego w Polsce. Pomyśl ten był próbą wywołania z grobu doktryny Breźniewa — pisze gazeta. Subytutem jest oczywiście prezydent Nicolae Ceausescu.

● „Jeżeli Wałęsa, Jaruzelski i Mazowiecki mogą zasiadać obok siebie w Warszawie, to dlaczego nie mieliby czynić tego gdzie indziej?” — odpowiedział Giennadij Gierasimow, rzecznik radzieckiego MSZ, kiedy zapytano go o reakcję na taki ewentualny skład polskiej delegacji na posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego Układu Warszawskiego.

● W telegramie do Michaiła Gorbaczowa, który wysłany został z samolotu papierza znad terytorium ZSRR, Jan Paweł II przekazał wraz z błogosławieństwem najlepsze życzenia pomysłowości dla społeczeństwa radzieckiego.

● Zniesienie cenzury w ZSRR jest najważniejszym elementem projektu prawa prasowego wniesionego pod obrady radzieckiego parlamentu.

● W 1984 roku za dolara płacono w Jugosławii 100 dinarów. Dziś płaci się 35 000.

● Przeciętne wynagrodzenie w Bułgarii wynosi około 200 lewa. Oto niektóre ceny: pół litra miodu — 1,75 lewa, kostka masła (250 g) — 1 l, bochenek chleba (800 g) — 0,3 l, kilogram kiełbasy — od 3,80 l do 7,1 l.

● W Bułgarii po raz pierwszy wprowadzono w szkołach podstawowych i średnich 5-dniowy tydzień nauki.

● Czerwcową masakrą na placu Tiananmen kosztowała Chińską Republikę Ludową utratę dochodów z turystyki w wysokości co najmniej 1 mld dolarów. Do końca roku straty te wzrosną o dalsze 300 mln dol.

● Zadłużenie zagraniczne Chin na koniec 1988 r. wynosiło 40 mld dolarów. Prasa chińska informuje, że nie ma powodów do obaw, gdyż obsługa kredytów nie przekracza 20 proc. wpływów z eksportu.

● Laureat tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla, religijny przywódca Tybetańczyków (Tybet należy do Chin) Dalajlama XIV stwierdził, że „rządy totalitarne są sprzeczne z naturą człowieka”.

nia”, motywując swą decyzję chęcią zmian, jakie niezbędne są, jego zdaniem, w stosunkach kraj — Polonia.

● Rada Narodowa Łodzi odrzuciła dwie kandydatury na prezydenta miasta, przedstawione przez premiera T. Mazowieckiego.

● „Oświadczylem na pożegnaliym spotkaniu, że odchodzę z przyjemnością, bo pasowałem do tej przesyry jak wół do karety, czego zresztą nie wyemitowano zapewne ze względów kurtuazyjnych” — powiedział Jerzy Urban w wywiadzie dla tygodnika „Kultura”.

● „Jaruzelski mierzy na Wawel, chce być pochowany obok Piłsudskiego i to jest jego polityka. Może mu się uda. Chyba że...” — Stefan Kisielewski dla „Gazety Wyborczej”.

● 90 proc. lekarstw wydawanych jest w Polsce na recepty bezpłatne. Apteki świecą pustkami. Komisja ds. Reformy Ochrony Zdrowia proponuje, aby m. in. zwiększyć odpłatność ponoszona przez osoby ubezpieczone z 30 do 50 proc., znieść uprawnienia do bezpłatnych recept dla pracowników MON, MSW, służby zdrowia, wprowadzić rozróżnienie między lekami ratującymi życie i zdrowie, a uzupełniającymi, które byłyby w pełni odpłatne.

● Na zaspokojenie potrzeb żywnościowych do przyszłorocznych zbiorów potrzeba nam miliarda, a nawet 1,2 mld dolarów, jeśli chodzi o dostawy artykułów żywnościowych z Zachodu i kredytów krótkoterminowych na ten cel.

● W latach 1975—1985 pogłowie krów w województwie białkopodlaskim spadło o 9 tys. sztuk, w trzyleciu 1985—88 — o dalsze 10 tys. sztuk. „W Białej Podlaskiej trzeba będzie założyć ogród zoologiczny, aby wnuki dzisiejszych rolników mogły zobaczyć krowę” — pisze Józef Kuśmierk w „Gazecie Wyborczej”.

● „Nie sądzę, aby cenzura przestała istnieć z dnia na dzień. Jak można było usłyszeć z wypowiedzi nowej rzeszki rządu, będzie to proces ewolucyjny. Słowo «ewolucja» zakłada, że potrwa to lata. Proszę zwrócić uwagę na to, jak długo ewoluuje gatunek ludzki, a jeszcze nie zdolał się całkowicie ucziłowić”. — Zdzisław Barwiak, cenzor, w rozmowie z dziennikarzem „Trybuny Opolskiej”.

## relacje

## Z KRAJU

● Prokurator Generalny PRL wystąpił do Prokuratora Generalnego ZSRR z wnioskiem o wszczęcie i przeprowadzenie śledztwa w sprawie zamordowania w Katyniu — i innych dotąd nie ustalonych miejscach — polskich oficerów internowanych jesienią 1939 r. i osadzonych w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie oraz przeprowadzenie procesu rehabilitacyjnego przedstawicieli polskich ugrupowań politycznych skazanych w czerwcu 1945 r. w Moskwie.

● „Gdyby w następną niedzielę odbyły się wybory do Sejmu i Senatu — pisze dyrektor Centrum Badania Opinii Społecznej S. Kwiatkowski w „Polityce” — to tylko 3 proc. elektoratu (810 tys.) głosowałoby na PZPR”. Według oficjalnych danych Polska Zjednoczona Partia Robotnicza liczy ponad 2 miliony członków.

● OPZZ odrzuciło zaproszenie do komisji zjazdowej PZPR i kontynuuje przygotowania do utworzenia Ruchu Ludzi Pracy. Do OPZZ należy 80 proc. członków PZPR.

● „Jednym z autentycznych, pozytywnych skutków działalności PZPR było ukształtowanie w podświadomości społecznej socjalistycznych oczekiwań” — stwierdził na łamach „Sztandaru Młodych” Kazimierz Kilk, jeden z liderów „Ruchu 8 lipca”.

● Lech Wałęsa, na konferencji prasowej, opowiedział się za odpolitycznieniem instytucji publicznych, wojska, milicji, administracji państwowej, łącznie z ograniczeniem „Solidarności”.

● W Skwierzynie (woj. gorzowskie), tamtejszy Miejski Komitet Stronnictwa Demokratycznego, uznając, że zakłady pracy nie powinny być areną walki politycznej, podjął uchwałę o wypowiedzeniu swoich kół z przedsięwzięcia instytutu i urzędów. Wezwał też PZPR i ZSL, aby postąpiły tak samo.

● Tadeusz Witold Młynczak (były prezes naczelny CK SD) zrezygnował z funkcji prezesa Towarzystwa „Polo-

## Odnajdziesz się w „Relacjach”

- ★ Jeżeli założyłeś firmę;
- ★ Jeżeli Twoja firma zmieniła adres lub numer telefonu;
- ★ Jeżeli proponujesz nowe usługi lub towary;
- ★ Jeżeli masz telefon, a nie ma Cię w książce telefonicznej

## Skorzystaj

Chcemy pomóc przedsiębiorcom państwowym i prywatnym, menadżerom, rzemieślnikom, handlowcom i tym wszystkim, którzy korzystają z ich usług. Pomoc ta polegać będzie na publikowaniu w „Relacjach” aktualnego rejestru firm prywatnych i państwowych, sklepów, punktów usługowych itd. oraz ich aktualnych adresów i telefonów. Także — według życzenia — informacji o świadczonych przez nie usługach, o ich ofertach itd. Także na publikowaniu aktualnych telefonów prywatnych, jeżeli nie ma ich w książkach telefonicznych. W ten sposób powstanie „INFORMATOREWY FIRMOWY RELACJI”. Dzięki „Informatorowi” usprawnisz swoją pracę, o wiele rzadziej będziesz korzystał z numerów 912 i 913, oszczędzisz sobie stresów.

„INFORMATOREWY...” zawierał będzie trzy działy: NOWE FIRMY; NOWE ADRESY I TELEFONY; MÓJ NOWY TELEFON.

„Informator” będziemy publikować od 2 listopada do czasu aż wyczerpiemy wszystkie zgłoszenia. W ten sposób powstanie aktualny rejestr ofert, adresów i telefonów. Dla Ciebie, dla Twoich znajomych i klientów.

## ZGŁOSZENIA

przyjmuje redakcja Tygodnika Wschodniego „Relacje” — Lublin, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 2 w godz. 10—14 oraz Biuro Ogłoszeń — Lublin, ul. Rybna 13.

## KOSZT

zamieszczenia informacji w „INFORMATORZE” jest taki sam, jak za inne ogłoszenia prasowe.

## CO WAŻNE

tygodnik „Relacje” sprzedawany jest nie tylko w regionie, ale także w całym kraju.

## KOMUNIKAT

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe — przejmie informuje P.T. Czytelników, że od następnego numeru ustala nową cenę tygodnika „Relacje” w wysokości 200 złotych. Zmiana ceny wynika ze znacznego wzrostu kosztów wydawania pisma, a w szczególności kosztów papieru. Informujemy także, że zmiana powyższa nie odnosi się do prenumeratorów, którzy do końca okresu, na który mieli przedpłaty, będą otrzymywali pismo po dotychczasowej cenie.

## OGŁOSZENIA

CYKLINOWANIE, lakierowanie podłóg dla osób fizycznych i instytucji po konkurencyjnych cenach, ekspresowo wykona firma „PIĘKNY DOM”. Tel. 452-56. 24076/G

KOŻUCHY, odzież skórzana — renowacja. Lublin, Miła 10. 23350/G-10

ZAGRANICZNE oferty matrymonialne paniom, panom poleca „VENUS”, skr. 27, 59-850 Świdradów-Zdrój. 1/P-10

## OD REDAKCJI - DO CZYTELNIKÓW

## W ZWIĄZKU Z KOMUNIKATEM PRASOWYM

Drogi! Przykro nam, że po raz kolejny w okresie ostatnich dwóch miesięcy podnosimy cenę „Relacji”. I chociaż wiemy, że podobną operację zmuszone były przeprowadzić inne redakcje dzienników i czasopism w Polsce, że egzemplarz „Relacji” kosztuje mniej niż np. paczka najbliższych papierosów — krusze to argumenty z punktu widzenia zespołu, który tworzy pismo nowe obecne na rynku zaledwie od 19 stycznia br. Ale mówimy — trudno, bo nie od nas przecież zależy fakt, że cena papieru zużytego (tylko!) na 1 egzemplarz naszego tygodnika przekracza 77 zł, a koszt sprzedaży (tylko!) 1 egzemplarza daleko przekracza wartość 50 zł. Do tego dodać należy bardzo wysokie koszty druku i doprawdy niskie koszty osobowe.

Prosimy Was, Czytelnicy, o zrozumienie i zapewniamy jednocześnie, że postaramy się robić nadal pismo Wam potrzebne.

## W ZWIĄZKU Z NOWYMI CENAMI OGŁOSZEŃ

W Lubelskim Wydawnictwie Prasowym przyjęty został nowy cennik opłat za ogłoszenia. Nasze pismo, ze względu na to, że jest pismem nowym i powinno korzystać z działań promocyjnych — oferuje znacznie niższe ceny za ogłoszenia ramkowe i ogłoszenia drobne, niż pozostałe tytuły wydawane przez Lubelskie Wydawnictwo Prasowe. I tak zamieszczając ogłoszenie

ramkowe w „Sztandarze Ludu”, dzienniku Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej bądź w „Kurierze Lubelskim” czyli w tzw. piśmie czytelnikowskim, płaci za centymetr kwadratowy 2000 zł, a za słowo w ogłoszeniu drobnym 800 zł. U nas odpowiednio: 1500 zł lub 500 zł. A więc — opłaca się (po pierwsze), a po drugie pamiętać warto, że tygodnik „Relacje” sprzedawany jest nie tylko w makroregionie, ale w całej Polsce.

Nie będziemy także ukrywać, że skoro wpływy z ogłoszeń wspierają budżet „Sztandaru” — dziennika PZPR i „Kuriera” — pisma czytelnikowskiego, to i my chcielibyśmy poprawić w ten sposób naszą trudną sytuację finansową, o czym mówią informacje dotycząca ceny pisma.

## W ZWIĄZKU Z LISTAMI

W okresie wakacyjnym wydaliśmy trzy kolejne numery „Relacji”, w których listy od naszych Czytelników wypełniały znaczną część tzw. powierzchni druku pisma. W ostatnim czasie znowu „nam sypnęło” listami z całego kraju, w których piszecie o sprawach ważnych bądź ciekawych, w których rozwijacie problemy poruszane na naszych łamach bądź polemizujecie z nami. Jest także w redakcyjnej teczkce wiele listów z różnorodnymi propozycjami.

W związku z tym „bogactwem”, które cieszy, informujemy, że wkrótce skierujemy do druku kolejne numery „Relacji” ze zwiększonym udziałem wypowiedzi naszych Czytelników.

"Teraz nastały takie czasy, że dziś nadajemy imię, a jutro zdejmujemy"

## ODSZEDŁ TOWARZYSZ „WITOLD”

**T**YM razem nie było tłumy ludzi i trzasku aparatów fotograficznych. Towarzysz „Witold” odszedł bez żadnego rozgłosu. Niemal z dnia na dzień zniknął z cokołu ustawionego przed gmachem Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych przy ul. Narutowicza w Lublinie. Podzielił los towarzysza „Tomasza”, którego „zastygła w spiżu postać” została usunięta z placu jego imienia. Popiersie generała Franciszka Jóźwiaka „Witolda”, pierwszego komendanta Milicji Obywatelskiej w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, zdemontowano 9 października 1989 roku.

— Nie chcieliśmy wzbudzać niepożądanych emocji — powiedział płk Aleksander Chochorowski, szef WUSW w Lublinie. — Opinia Konferencji Delegatów Partyjnych jest jasna i nie wymaga komentarza.

Trzy dni później ukazał się w prasie codziennej oficjalny komunikat rzeczownika prasowego WUSW, komentujący tę decyzję:

„Nawiązując do faktu demontażu popiersia generała Franciszka Jóźwiaka »Witolda« z cokołu stojącego przed gmachem WUSW w Lublinie, uprzejmie wyjaśniam, iż jedynym powodem takiej decyzji jest krytyczna ocena tej postaci jako polityka ponoszącego odpowiedzialność za decyzje komisji kierowanej przez Bolesława Bieruta, czemu dała wyraz II Krajowa Konferencja Delegatów PZPR w przyjętym stanowisku”.

Tyle komunikat.

Jeszcze dwa miesiące temu nawet towarzysze partyjni z Lublina nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Jeden z sekretarzy Komitetu Miejskiego PZPR twierdził wręcz, że „Jóźwiak stoi na określonym gruncie i chyba nie będzie zlikwidowany”. Okazało się jednak że „na określonym gruncie” towarzysz „Witold” przestał być wzorem

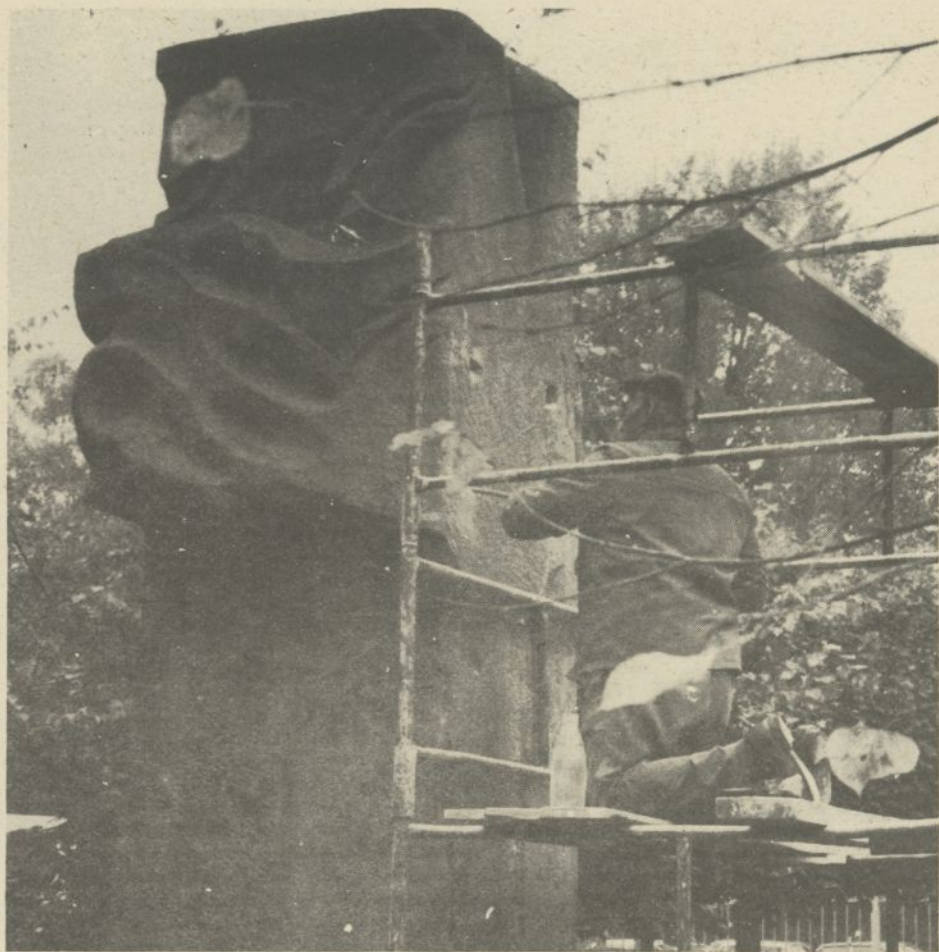
do naśladowania. Pozostał tylko pusty cokół i ślad po pamiątkowej tablicy.

Kim był? Na pewno patronem kilku szkół w województwie lubelskim, które co roku organizowały alkaademie na jego cześć. Poprzez niego podjęto decyzję o usunięciu popiersia gen. Jóźwiaka, z początkiem września zrezygnowano z noszenia nazwy jego imienia. Kuratorium Oświaty i Wychowania zaakceptowało stosowne uchwały rad pedagogicznych.

Lubartowskie Liceum Ogólnokształcące i Szkoła Podstawowa nr 36 w Lublinie (a może jeszcze inne?) są dzisiaj bezimiennie.

— Dopóki ja tu jestem i to grono pedagogiczne — stwierdziła dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 36 — szkoła nasza nie będzie nosiła żadnego imienia. Po prostu szkoła podstawowa i już. Teraz nastały takie czasy, że dziś nadajemy imię, a jutro zdejmujemy. Człowiek połapać się nie może, który święty to święty.

Kim był? Lubelski historyk, dr Janusz Wrona, nazwał go „wielkim narchezem” w rękach Bieruta. Był posłusznym i ślepyim wykonawcą jego rozkazów. To Jóźwiak najdotkliwiej atakował Władysława Gomułkę w 1948 roku za tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Stał się pośrednio odpowiedzialny — jako komendant główny MO w latach 1944—1949 — za zbrodnie popełnione przez UB. Był człowiekiem nieprzeciętnie „głupim i prymitywnym”, jak pisał o nim we wspomnieniach Leon Chajna. Co nie przeszkodziło mu piastować przez szereg lat wielu stanowisk partyjnych i państwowych. Oprócz stanowiska komendanta głównego MO pełnił funkcję wiceprezesa Rady Ministrów, był posłem na Sejm i członkiem Rady Państwa, prezesem NIK i ZBoWiD, przewodniczącym Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej. W październiku



Pozostał tylko pusty cokół i ślad po pamiątkowej tablicy.

Fot. Violetta Krasnowska

1956 roku przeszedł na rentę. Zmarł 29 października 1966 roku i został pochowany w Alei Zasłużonych na Powązkach w Warszawie.

9 października 1989 roku towarzysz „Witold” odszedł bezpowrotnie z Lublina.

Violetta Krasnowska  
Zbigniew Dzięciołek

Jego popiersie na cokole stało przed gmachem Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lublinie na początku lat 80. Milicyjne składki i pieniężna dotacja ówczesnego ministra kultury i sztuki, Kazimierza Żygulskiego, pozwoliły towarzyszowi „Witoldowi” powrócić „w tej formie”, na rodzinną ziemię (pochodził ze wsi Huta w dawnym powiecie puławskim).

PS. Znakiem czasu i dowodem na rozpowszechnianie się w resorcie MSW rachunku ekonomicznego jest, iż zdjęto jedynie biust „Witolda”. Cokół na wszelki wypadek pozostawiono. Już bowiem Lec pisał: „Burząc pomniki, oszczędzajcie cokoły — mogą się jeszcze przydać”.

(emzet)

## W Kocku

**J**EST ciepła jesienna niedziela. Pola naokoło Kocka parują, mgła zakrywa horyzont. Wjeżdżamy na mały rynek, otoczony starymi, jeszcze przedwojennymi domami, po lewej stronie stoi kościół. Wyjątkowy spokój, bez ruchu, tylko na przystanku PKS stoi grupka ludzi.

Jest ósmy października 1989; pięćdziesiąt lat temu w lasach kockich odbyła się ostatnia bitwa obronna 1939 roku, stoczona przez oddziały pod dowództwem generała Franciszka Kleeberga.

Tuż za miastem stoi pomnik Generała. Dzisiaj odbywa się tu uroczystość rocznicowa, przyjechał prezydent Wojciech Jaruzelski, żołnierze-Kleeberczycy przybyło dużo mieszkańców miasta. Mszę polową odprawia Generalny Dziekan Wojska Polskiego, odczytany zostaje ostatni rozkaz generała Kleeberga, jednak z pominięciem fragmentu mówiącego o walce z Armią Czerwoną. Delegacje składają kwiaty i wieńce.

Tuż za pomnikiem rozciąga się duże pole. Kilka lat temu postanowiono wybudować tu społecznymi siłami tak zwaną „Panoramę Kocką”. Po mszy, w mniejszym gronie odbywa się tu uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod ten obiekt. Z przemówieniem występuje poseł Zygmunt Łupina.

Na początku tej uroczystości zanika głos prowadzącego, ludzie ze zdziwieniem spoglądają po sobie; ktoś mówi: „Wylączyli nagłośnienie”. Organizatorzy, czyli „Solidarność” Rolników Indywidualnych i Komitet Obywatelski Kocka, jakby przewidzieli tę sytuację. Przynoszą z samochodu ręczny megafon, dzięki temu uroczystość toczy się dalej.

Po zakończeniu rolnicy zostają zaproszeni przez KO i „Solidarność” RI do Banku Spółdzielczego, gdzie odbywa się spotkanie z posłem Zygmuntem Łupiną.

Bank Spółdzielczy to szary, piętrowy budynek, rolnicy wchodzą do sali ze-

...trzeba będzie drukować nowe pieniądze. Na ścianach wiszą plakaty z kolorowymi makami, rumiankami i chłopami z kosą. Pod plakatami podpisy: „75 lat Ruchu Ludowego”, „VI Kongres ZSL”, „VII Kongres ZSL” itd. Rolnicy siadają, zdejmują z głów czapki. Około czterdziestu osób, tylko jedna kobieta. Jeden z uczestników przyszedł z małym chłopcem. Wkrótce chłopiec przytulił się do ojca i zasnął. Do sali wchodzi też mężczyzna w garniturze, białej koszuli i krakawacie, wyraźnie odróżniający się od reszty zebranych. Potem dowiaduję się

trzeba będzie drukować nowe pieniądze.

— A co teraz z hodowlą świń? — odzywa się stanowczo ktoś z sali. — Bo, panie, koszty produkcji 500 tysięcy złotych za wieprzka, a sprzedajemy za 300 tysięcy złotych. Jak tak może być? Trzeba stworzyć granice w cenach.

— Jeżeli kontrola cen, to nie wolny rynek — odpowiada poseł. — Ten rząd nie chce kontrolować cen. Ja mówię: najpierw walczmy o wolny rynek w przemyśle, a dopiero potem o rynek

# „ROZMAWIAJTA SE SAME ZE SOBĄ”

Anna Mickiewicz

że jest to przedstawiciel Gminnej Rady.

Spotkanie prowadzi przewodniczący „Solidarności” RI i przewodniczący Komitetu Obywatelskiego. Poseł Łupina, po krótkim wstępie, pyta rolników, czy są udziałowcami gminnej spółdzielni. Ktoś z sali odpowiada, że tak.

— A czy dostajecie dywidendy?

— Nie, ponieważ przekazuje się je na rozwój.

— Na jaki rozwój? — pyta poseł. — Czy ktoś to kontroluje? To wy powinniście decydować, jak te pieniądze wykorzystywać.

— Na sali panuje poruszenie. Mężczyźni uciszej się nawzajem. Nad ich głowami, na ścianie głównej, tuż przy przedyum wisi hasło: „BS w służbie rolnictwa”. Stare hasła, nowe sytuacje.

Wstaje starszy człowiek, zdejmując czapkę i pyta:

— Panie, jak z tymi podatkami gruntowymi, 20 proc., czy 50 proc., ile mamy płacić?

— Trzeba płacić — odpowiada Łupina. — Taką decyzję podjął „Solidarność” RI. Jeżeli nie zapłacicie, to

żywnościowy. Zrobiono odwrotnie i dlatego teraz szaleją ceny.

Wstaje młody człowiek, przewodniczący KO, Janusz Świderski. Zwraca się do rolnika, który zabierał głos:

— Przecież postawiliśmy na rynku budkę z szyldem „Wolny Handel”; narzekacie, ale nikt z was do tej pory nie sprzedaje tam mięsa po takiej cenie, jaka jest najkorzystniejsza.

— Chłop musi zajmować się ziemią, a nie handlować — odpowiada ktoś z sali.

— No tak — mówi Zygmunt Łupina.

— Są w Kocku zakłady przemysłowe. Niektóre z nich będą bankrutować, może ci ludzie, którzy tam teraz pracują, prowadziliby handel, zakładaliby prywatne ubojnie, młyny. Wszystko to trzeba robić tu, na miejscu, wtedy ceny i zyski też będą inne.

Rolnicy spoglądają na siebie. Widać, że jeszcze nie bardzo mogą uwierzyć, że wszystko zależy teraz od nich. Podczas spotkania cały czas przewija się wątek skarg na państwowe instytucje. Poseł Łupina zasypany jest pytaniami, niestety musi już kończyć. Mówi jeszcze, że Komitet Obywatelski po-

wnien być zapraszany na sesję Gminnej Rady, że nie trzeba teraz walczyć, tylko szukać sojuszników.

Spotkanie się kończy. Rolnicy wychodzą z budynku GS. Jednak nie rozchodzą się. Długo stoją, palą papierosy i rozmawiają. Atmosfera trochę się rozluźnia. Słychać narzekania, głównie na Związek Radziecki. Twarze i ręce chłopów są pomarszczone, ogorzałe.

W pewnym momencie podchodzi do nich mężczyzna w średnim wieku. Dowiaduję się, że jest to zastępca naczelnika Gminy Kock. Ubrany w płaszcz i buty pochodzące z tzw. „Mody Tu-

reckiej”. Przewodniczący KO zwraca się do niego:

— Dlaczego pan wyłączył głośniki, przecież była druga uroczystość, wszystko ustaliliśmy z władzami Rady Gminnej.

Mężczyzna z uśmiechem odpowiada:

— Ja nic nie wiedziałem, wczoraj mi powiedziano, że uroczystości nie będzie.

— Jak to? — zdecydowanie pyta przewodniczący. — Przecież rozmawialiśmy o wszystkim i pan też o tym wiedział.

— Rozmawiajta se same ze sobą — mężczyzna machnął ręką i odszedł, nadal z uśmiechem na twarzy.

Jest mglisty, szary jesienny wieczór. Wjeżdżamy z Kocka, który o tej porze wydaje się małym, cichym miasteczkiem, zatopionym wśród pól i lasów.

W wieczornym „Dzienniku Telewizyjnym” jest relacja z Kocka. Nie podano jednak informacji o uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod budynek „Panoramy Kockiej”. Nie wspomniano też o tym następnego dnia w „Panoramie Lubelskiej”.

## Korespondencja własna z Holandii

— Pani doktor, dla ponad trzystu dzieci polskich, które przebywały w Szpitalu Dziecięcym im. Królowej Wilhelminy w Utrechcie, gdzie przeszły skomplikowane operacje serca, w większości przypadków ratujące ich życie, jest pani drugą matką. Nie jest to określenie kurtuazyjne, bo tak właśnie mówią mali pacjenci, ich rodzice. Czy fakt ten niesie satysfakcję?

— Powiedziałabym, że jest to pytanie retoryczne. Naturalnie, odczuwam radość z każdego przyjazdu polskiego dziecka do naszego szpitala. Unikalbym jednak zbyt patetycznych określeń wobec mojej osoby. Jestem jedynie koordynatorem programu pomocy. Głównymi autorami tej pomocy są lekarze, którzy uczestniczą w zabiegach operacyjnych, diagnozowaniu, opiece pooperacyjnej, a także ci, którzy organizują pomoc, zbierają fundusze. Dużo, dużo ludzi z sercem.

— Pani pozycja jest jednak szczególna.

— Pozycja każdego w naszym programie jest szczególna. Każdy robi, co do niego należy. Jeżeli o mnie chodzi, to poprzez fakt, że jestem Polką, mam najlepszy kontakt z dziećmi przylatującymi z kraju i ich rodzicami. Mogę pośredniczyć w kontaktach z lekarzami i personelem szpitala, prowadzić korespondencję, przygotowywać materiały propagandowe, informacyjne po polsku. W takim charakterze zostałam zaangażowana do programu. Nie przeceniam ani swojej pozycji, ani roli.

— Jak powstała idea programu pomocy polskim dzieciom?

— W 1983 roku zespół lekarski szpitala postanowił zaoferować swoją wiedzę i doświadczenie z dziedziny kardiologii i kardiologii dziecięcej potrzebującym dzieciom spoza Holandii. Upoważniali do tego bardzo dobre wyniki operacyjnego leczenia wrodzonych wad serca. W ponad 90 procentach przypadków, po operacjach, dzieci wracają do zdrowia i normalnego życia. Doświadczenie zespołu i jego możliwości przekroczyły pułap 150—200 zabiegów rocznie, czyli tyle, ile do nas trafi pacjentów. Bezczynność w sytuacji, gdy w świecie żyje mnóstwo dzieci, którym pomoc kardiologiczna jest potrzebna dosłownie jak powietrze, wydawała się nieuzasadniona moralnie. Dyrektor Szpitala Królowej Wilhelminy, prof. dr med. J. W. Stoop, zwrócił się więc do znanej organizacji charytatywnej „Terre des Hommes” („Ziemia, Ojczyzna Ludzi”) z prośbą o wsparcie w finansowaniu programu pomocy. Wymieniony został także konkretny adresat tej pomocy — dzieci polskie. Do tej pory „Terre des Hommes” zajmowała się pomocą ekonomiczną, humanitarną, edukacyjną dzieciom krajów pozaeuropejskich, było to więc coś nowego. Po zapoznaniu się z programem szpitala — „Terre des Hommes” z entuzjazmem podjęła się współpracy.

— Dlaczego wybór padł na polskie dzieci, a nie ich rówieśników z Azji czy Afryki?

— Decydowało kilka czynników. Kontakty medyczne Holandii i Polski przy różnych okazjach wskazywały na palącą potrzebę przeprowadzania operacji serca u małych dzieci, podczas gdy możliwości Polski w tej mierze były (i są) bardzo ograniczone. Jednocześnie sytuacja Polski pozwalała sądzić, że są tam warunki do realizacji programu w drodze jego części: w dziedzinie szkolenia w Utrechcie polskich specjalistów, aby później samodzielnie mogli dokonywać zabiegów operacyjnych. Nie bez znaczenia była także przyjaźń, jaką Holendrzy darzą Polaków, a także — nie ma potrzeby ukrywać i tego — niewielka odległość dzieląca oba kraje.

Tak więc w listopadzie 1983 roku do Polski udała się delegacja zespołu specjalistów i kardiologów, intensywnej opieki medycznej oraz reprezentantów organizacji charytatywnej, aby na miejscu ustalić szczegóły realizacji programu. Strona polska odniosła się do naszej oferty zyczliwie i ze zrozumieniem, co dało możliwość

przystąpienia do praktycznej realizacji programu.

— Powiedzmy dokładniej, co on zakładał.

— Zoperowanie 500 polskich dzieci z wrodzonymi wadami serca i wyszkolenie pięciu wyspecjalizowanych w takich operacjach ekip polskich.

— Jak wygląda to w dniu, w którym toczy się nasza rozmowa w Utrechcie?

— Przeprowadziliśmy dotychczas 330 operacji. Z żalem muszę powiedzieć, że z tej liczby dziewięćdziesięciu dzieci utraciliśmy. Były operowane zbyt późno...

— Rozumiem pani żal, bo każda śmierć dziecka ma swój tragiczny wymiar. Nie mogę jednak nie do-

— Wróćmy do samych zabiegów. Nie są one przedsięwzięciami tanimi. W jaki sposób odbywa się finansowanie leczenia?

— Koszt jednej operacji i leczenia wynosi 25—30 tysięcy guldenów (12—14 tysięcy dolarów). W przypadku dzieci polskich jest on skalkulowany na 18 tysięcy guldenów (8 tysięcy dolarów), co wynika z faktu, że część diagnostyki i badań jest wykonywana w Polsce, a nasi specjaliści nie pobierają honorariów za zabiegi. Jakkolwiek jednak liczyć, mówimy o kwotach znacznych...

W jaki sposób gromadzi się fundusze? Zajmuje się tym „Terre des Hommes”, organizując liczne akcje propagandowe, które informują o celach pomocy i zachęcają do ofiarności. Najbardziej efektywne są programy telewizyjne z udziałem wielu znanych postaci publicznych, artystów, prowadzone przez znanego prezentera Ivo Neera. One właśnie przyczyniły się do rozpropagowania i upowszechnienia

— Jak wygląda pobyt małych pacjentów w Utrechcie? Już pobieżna obserwacja wskazuje na zasadnicze różnice między tym, co wy im oferujecie, a warunkami w polskich szpitalach.

— Jest kardynalną zasadą, że dziecko musi przez cały czas pobytu przebywać z matką. Dobre samopoczucie psychiczne jest bardzo ważne dla powodzenia leczenia. Mały pacjent ma do dyspozycji zabawki, księżkę, mieszka w oddzielnym pokoju razem z matką poza terenem szpitala. Stagnownie przyzwyczajają się do nowej sytuacji.

Przez te lata wypracowaliśmy pewien rutynowy harmonogram pobytu. W środę odbieramy pacjenta i matkę na lotnisko. We czwartek jest badanie i, w zależności od wyniku, stosowane jest odpowiednie leczenie przedoperacyjne. Zwykle jednak do niedzieli jest czas na aklimatyzację. W niedzielę dziecko trafia do szpitala, a w poniedziałek jest operowane. Potem następuje okres intensywnej opieki i rekonwalescencji, powrót do mieszkania i na dziewięć dni od zabiegu — wyłot do Polski.

Ogółem pobyt trwa dwa tygodnie. W uzasadnionych przypadkach dłużej. Zawsze rozstajemy się z naszymi małymi pacjentami w atmosferze przyjaźni. Otrzymują na pożegnanie prezenty, pamiątkowe zdjęcia z personelem medycznym. Potem przebywają pod specjalistyczną opieką polskich lekarzy... Nie zapominają jednak o nas, o czym świadczą choćby listy, które otrzymujemy z Polski.

— Pani doktor, dokonujecie około 60 operacji polskich dzieci rocznie. W jakiej pozostaje to proporcji do rzeczywistych potrzeb?

— Przyjmuje się, że na każdy tydzień urodzonych dzieci ośmioro posiada wrodzone wady serca. W Polsce przychodzi rocznie na świat około sześciu tysięcy dzieci z wrodzonymi wadami. Nietrudno więc zauważyć, że ten wskaźnik jest wyższy [przejmując roczny przyrost naturalny na poziomie 300 tysięcy, wynosi on 20 przypadków na tydzień, a więc dwu i półkrotnie więcej od średniej statystycznej — przyp. W.P.]. Z tych sześciu tysięcy, około 3,5 tysiąca nadaje się do operacyjnego leczenia.

Jest więc to problem bardzo poważny. Nasze sześćdziesiąt operacji jest kropla w morzu, przez nie stawialiśmy sobie za cel rozwiązania całości problemu wrodzonych wad serca u dzieci polskich. Nam chodzi o poprawę sytuacji na przyszłość poprzez stworzenie warunków do jak największej liczby operacji na miejscu, w Polsce.

— Program pomocy, realizowany przez wasz szpital, opiewa na 10 milionów guldenów. Tyle ofiarni Holendrzy, w odruchu serca zgromadzili. Chwała im za to! Nie da się jednak odsunąć myśli, że za dwa lata do Wilhelmina Kinderziekenhuis przy ABC Straat w Utrechcie przybędzie ostatni mały pacjent z Polski. Zostanie zoperowany, wróci do kraju. Potem wszystko się skończy. To słowo „skończy” ma także swoją dramatyczną konotację. Zakończenie programu pomocy będzie oznaczało również zakończenie życia przez wiele dzieci, które już waszej pomocy nie otrzymają. Jest być może nieaktownym mówienie o tym, ale — mimo wszystko — taka świadomość gdzieś pozostaje.

— Owszem. Można i tak to spostrzeżać. Można jednak także akcentować elementy pozytywne, jakie przyniosła współpraca. Poza tym program jeszcze przecież się nie skończył... Wielu Holendrów mówi głośno i otwarcie, że dobrze byłoby go kontynuować.

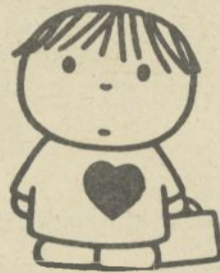
— Na koniec rozmowy pytanie osobiste. Co pani dał udział w programie pomocy polskim dzieciom?

— To były i są najbardziej znaczące lata w moim życiu. Czulałam i czuję się potrzebna i w sensie indywidualnym, jako człowiek, i w sensie bardziej ogólnym, jako Polka, która w ten sposób może pomóc swemu krajowi i rodzinie. Najważniejsze jednak pozostają wzruszenia w bezpośrednich kontaktach z dziećmi, którym ofiarowane zostaje zdrowie, a często życie. Wartości wynoszone z tych właśnie kontaktów mają dla mnie wartość zupełnie wyjątkową.

— Dziękuję pani.

Rozmawiał: Waldemar Piasecki

# SPRAWA SERCA



Ten symbol graficzny pomocy polskim dzieciom zna każdy Holender...

## Rozmowa z dr Krystyną Ellmer koordynatorem programu Poolse Hartpatientjes Naar Nederland



Dr Krystyna Ellmer: „Najważniejsze pozostają wzruszenia w bezpośrednich kontaktach z dziećmi, którym ofiarowane zostaje zdrowie, a często życie”

Fot. Waldemar Piasecki

strzec faktu, że skuteczność zabiegów (ponad 97 procent) jest ogromna...

— Jest to zasługa zespołu lekarskiego i pielęgniarskiego.

— Czy moglibyśmy poznać nazwiska niektórych z nich?

— Postacią najbardziej popularną wśród małych pacjentów i ich rodziców jest zapewne dr J. F. Hitchcock, kardiochirurg dokonujący operacji, a więc bezpośrednio poprawiający defekty natury. Nie sposób nie wymienić kardiologów: prof. dr. E. Herincx, dr. A. J. M. G. Moularta, dr. G. J. van Mill; kardiologów: dr. M. Nijssen-Karse, dr. J. Damen. Są oni wspomagani przez wieloosobowy zespół pielęgniarski.

— Drugą częścią programu jest szkolenie polskich specjalistów w Utrechcie. O jakich można mówić efektach?

— Staże odbyło u nas pięciu kardiologów, sześciu anestezjologów, pięciu perfuzjonistów i osiem pielęgniarek. Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że poziom ich umiejętności jest bardzo wysoki i zbliżony do tego, co prezentują nasi utrechtscy specjaliści. Efekty wydają się oczywiste.

nienia naszej akcji. Wątpię, czy jest jakiś Holender, który by nie słyszał o niej. Dzięki temu mamy zapewnione środki na realizację programu. Pozostałych do zrobienia 170 operacji zostanie przeprowadzonych. Podobnie, jak w całości zostanie zrealizowany plan szkoleniowy.

— Kto kwalifikuje dzieci do Szpitala Królowej Wilhelminy? Kto rozstrzyga te losy na loterii?

— Kwalifikacja opiera się na przesłankach stricte medycznych. Diagnostykę przeprowadza Instytut Kardiologii w Warszawie, po czym dokumentacja trafia do nas i tu poddawana jest analizie. Wybór pada na dzieci najbardziej potrzebujące.

Wyprzedzając może pytanie o to, kto trafia na staże, odpowiem, że tu decyduje z kolei wiedza, doświadczenie oraz biegła umiejętność w posługiwaniu się angielskim. Zapewniam pana, że są to rzeczy bardzo łatwe do sprawdzenia.

— W jakim wieku dzieci operuje się?

— Teoretycznie mogą to być nawet noworodki. Jeżeli chodzi o polskie dzieci, to najmłodszy pacjent miał trzy miesiące, a najstarszy — osiemnaście lat. Większość dzieci ma od trzech do sześciu lat. Wszystkie zależą od typu wady i operacji.



„Cztery lata temu było tutaj puste pole”

Dokończenie ze str. 1

— A skąd pasze? — pytam. Okazuje się, że wystarczy 11 ha tutejszej ziemi, aby te świnię wykarmić. Pan Lech uprawia pszenicę i jęczmień (zbiera 65 kwintali z hektara), bobik oraz kukurydzę na kiszonki. Musi dokupić tylko koncentrat białkowy, więc jest prawie samowystarczalny.

Nie bardzo chce mi się wierzyć, że w ciągu czterech lat można stworzyć od podstaw takie gospodarstwo. Podejrzewam, że pan Lech zamierzał pożegnać państwowego pracodawcę parę lat przed ostateczną decyzją, a przez ten czas gromadził środki i maszyny. Ale jeżeli tak nawet było, dowodzi to jednego; przechodząc „na swoje” państwo Nowaczekowi musieli mieć przekonanie, że to się opłaca. A jeżeli się opłaca, to brak żywności w mieście jest — zwyczajnie — niezrozumiały.

Pan Lech (dodajmy: członek PZPR i, swego czasu, członek Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Chełmie) uważa, że winna jest fatalna wieloletnia polityka państwa wobec rolnictwa indywidualnego. Po pierwsze — wieś ciągle się wyludnia. Upokarzająca chłopa biurokracja i permanentny brak środków produkcji sprawiają, że młodzi ludzie uciekają do miasta. Tam wprawdzie też nie ma łatwego życia, ale jest osiem godzin pracy i święty spokój. A na wsi trzeba pracować godzin osiemnaście, bez wolnych sobót, wolnych niedziel, bez zwolnień lekarskich i bez urlopu. Państwo ładowało pieniądze w PGR-y i SKR-y, a powinno dać te pieniądze rolnikom indywidualnym.

Wreszcie — huśtawka cen i inflacja, jako wynik polityki rolnej ostatnich kilkunastu miesięcy. Mniej więcej rok temu opłacalność hodowli była taka, że chłopi przeznaczali na rzeź maciory i prosięta. Oznacza to, że ubożało tzw. stado podstawowe, a skutkiem tego jest dzisiejszy brak mięsa. A zatem mięsa brakuje nie dlatego, że chłop ukrywa świnię. Brakuje — bo go nie ma, bo nie zostało wyhodowane. Ale brakuje go też po części dlatego, że rolnik nie chce dzisiaj mięsa sprzedawać. A nie chce dlaczego? Ponieważ za mięso dostaje bezwartościowy papier z nadrukiem Narodowego Banku Polskiego i za ten papier niczego nie kupi. Gdyby jeszcze nie mógł kupić, ale ceny były stabilne, wolałby ten papier do banku. Inflacja sprawia jednak, że kto ma chłopski rozum (a który chłop go nie ma?), od pieniędzy ucieka. A ucieczka od pieniędzy znaczy tylko jedno: lepiej mieć świnię w chlewie niż bezwartościowy papier w portfelu.

Zatem: pierwszym warunkiem dopływu żywności do miasta jest zatrzymanie inflacji. Nie oznacza to jednak, że wszystkie pieniądze, jakie otrzymają chłopi za mięso, zostaną rzucone na rynek. Nie! Znaczna część tych pieniędzy trafi do banku jako oszczędności, ponieważ rolnicy składają będą pieniądze na maszyny i materiały budowlane. Po drugie — i to jest bardzo ważne — potrzebna jest polityka preferująca młodych, nowych rolników, którzy dopiero startują. Taki rolnik musi mieć łatwiejszy kredyt i łatwiejszy dostęp do środków produkcji. Inaczej — wieś wyludni się jeszcze bar-

## KIEDY DOSTATEK ŻYWNOCI?

dziej i coraz więcej ziemi będzie leżeć ugiorem.

Nie ma wątpliwości na wsi, że rolnictwo zostało „dobite” przez rząd Rakowskiego, który sam nie rozumiał prawdziwych problemów wsi. Przecież o tym, że spada pogłowie trzody i bydła, pisano w gazetach od paru lat. Ale rząd, powiada pan Nowaczek, nic w tej sprawie nie robił. Tymczasem chłop, ten chłop polski, z którego w mieście śmieją się, że nosi niemodne garnitury i na którego narzekają w kolejkach, że przetrzymuje świnię, ten chłop przez te wszystkie lata inwestował w gospodarstwo, bo tak mu nakazywał chłopski, klasowy instynkt. Dlatego ta wieś tak wygląda: zasobnie, porządnie, czysto. I jest pewna siebie: ona przetrzyma każdy kryzys, ale miasto — na pewno nie.

Tę opinię Lecha Nowaczka potwierdza w całości pan Roman Łaska z Wilkołaza, przewodniczący Gminnego Zarządu Solidarności Rolników Indywidualnych. Jego zdaniem, rolnictwo dobiega inflacja, która burzy wszelkie stosunki rynkowe. Dobry, mocny, stabilny pieniądz jest podstawą każdej gospodarki i powstanie takiego pieniądza jest najpierwszym postulatem chłopów. Jeżeli ten warunek nie zostanie spełniony, o normalnym rynku żywnościowym nie ma co mówić.

Bo rynek żywnościowy (wbijcie to sobie wreszcie do głowy, mieszczuchy!) jest skutkiem, wynikiem całościowego stanu gospodarstwa narodowego. A gospodarstwo narodowe kierowane jest przez miasto, przez miastowe urzędy, miastowy Sejm, miastowy Rząd i miastowych ludzi, którym bardziej doskwiera kara śmierci i stan więziennictwa (patrz: obrady Sejmu i Senatu) niż stan krajowego rolnictwa. A ponadto, takie jest zdanie chłopskiej Solidarności, nie może być mowy o zasadniczych zmianach na wsi bez zaprowadzenia autentycznego samorządu.

Co to znaczy: samorząd? Pan Łaska odpowiada, że znaczy to oddanie władzy w gminie mieszkańcom gminy. Dalej: uspołecznienie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” oraz uspołecznienie lokalnej administracji, która nazywa się Urząd Gminy i Naczelnik. Spółdzielnia będzie wtedy prawdziwą spółdzielnią, a naczelnik wykonawcą zaleceń samorządu. Ludzie będą wtedy u siebie i będą decydować o własnych sprawach: o budżecie gminnym, inwestycjach komunalnych i spółdzielczych. A wtedy nie do pomyslenia będzie sytuacja taka, jak np. w Opolu, gdzie naczelnik kupił sobie za państwowe pieniądze poloneza (patrz mój felieton „Zabrać inwalidom daść nomenklaturę”), podczas gdy brakowało pieniędzy na pensje dla nauczycieli.

Jeżeli zaś to wszystko zostanie zrobione, to znaczy: zatrzymana inflacja i zaprowadzony samorząd, za rok — dwa żywności w Polsce będzie w bród, a może nawet będziemy mieli kłopot z eksportem. Tak więc pan Łaska również uważa, że hamulcem rozwoju rolnictwa była do tej pory polityka państwa. A nawet więcej: ta polityka zmierzała do wyniszczenia prywatnego chłopca, dlatego skonstruowano taki system ekonomiczny i biurokratyczny, w którym rolnik nie mógł rozwijać wielkotowarowej, opłacalnej produkcji.

Czy tę opinię indywidualnego chłopca potwierdzą inni producenci z tak zwanego kompleksu żywnościowego? Skoro pierwszym artykułem strategicznym w Polsce jest mięso, należy udać się do masarzy i rzeźników, którzy odbierają żywca od rolników i gotowe wyroby wypuszczają bezpośrednio na rynek. Chłop inwestuje w budynki, w maszyny, kupuje hodowlane prosięta, których para kosztuje już ćwierć miliona złotych.

Czy tę koniunkturę potwierdzi przemysł przetwórczy?

W Cechu Rzemiosł Różnych w Kraśniku dowiaduję się, że pan Zygmunt Kępa buduje na ulicy Podleśnej rzeźnię i masarnię. Jadę tam, by dowiedzieć się, co — mimo kryzysu żywnościowego i pieniężnego — skłoniło tego człowieka do włożenia ogromnych pieniędzy w to przedsięwzięcie. Zawsze słyszy się przecież, że nic się nie opłaca. Nie! Musi być w tym gadaniu wielka bzdura, bo przecież gdyby tak było, nikt by nie wyłożył z własnej kieszeni stu kilkudziesięciu milionów na inwestycję, która zapiera dech.

Pan Kępa oprowadza mnie po budynku, który ma być wykończony za dwa miesiące. Zresztą gołym okiem widać, że budowa masarni dobiega końca. Wszystkie pomieszczenia są już wyłożone białymi kafelkami, a na podłogach układa się posadzki z lastryka. Zaś tych pomieszczeń na czterystu metrach kwadratowych jest kilkanaście: sklep, magazyny, hala produkcyjna, lodownia, myjnia, magazyn przypraw, magazyn na kiszkę, magazyn na sól, pomieszczenie na drewno do wędzenia, magazyn na kości, hala rozbioru, magazyn na półtusze, wreszcie pomieszczenia sanitarne i socjalne dla kilkunastoosobowego personelu. W osobnym budynku (też prawie na ukończeniu) znajduje się rzeźnia (zwana ubojnią) i poczekalnia dla dostawców.

Masarnia pana Kępy będzie mogła przerabiać dziennie jedną tonę żywca, czyli około dziesięciu tuczników. Czy okoliczni chłopi są w stanie dostarczyć tyle mięsa?

Pan Kępa nie byłby biznesmenem, gdyby nie miał na to pytanie gotowej odpowiedzi. Jeden jego syn prowadzi tuczarnię świń o wydajności stu tuczników rocznie, drugi zaś objął fermę drobiu, a masarnia przystosowana jest także do przetwarzania mięsa drobiowego. Na dodatek lada dzień pan Kępa podpisze umowę z „Drobiarzem” na produkcję wędlin z surowca, który będą mu dostarczać. Wszystko pomyślane jest więc tak, aby masarnia nie stała bezczynnie.

Pan Kępa zaczynał na szesnastu hektarach w 1952 roku. Kiedy jego żona była jeszcze w szpitalu, a synek miał zaledwie trzy dni, wzięto go, jedynego żywiciela rodziny, do wojska. Żona wytrzymała te twarde dwa lata i nie pozwoliła przyłączyć gospodarstwa do spółdzielni. On zaś po powrocie wziął się ostro do pracy. Na moje pytanie, dlaczego ludzie narzekają, odpowiada: „Oni biegają za piwem a ja biegam za interesem”.

Reflektuje się: „to oczywiście żart” — dodaje, ale wiele w tym prawdy, bo przecież on miał takie same warunki jak inni, a przez trzydzieści lat potrafił pobudować tuczarnię świń,

fermę drobiową, a na koniec postawił tę niedużą masarnię. Zaczynał od niczego, a teraz ma więcej niż niejedna Gminna Spółdzielnia.

Na moje pytanie, kiedy zaczniemy wychodzić z żywnościowego dołka, pan Kępa odpowiada: za sześć miesięcy będzie odbudowane stado podstawowe, drugie sześć trzeba będzie poczekać na dostawy mięsa. Pod warunkiem, że zatrzymana zostanie inflacja. Jako przyszły producent wędlin, bacznie obserwuje rynek i widzi, że rolnicy rzucili się na hodowlę. Szukają prosiąt i macior zarodowych, budują chlewnie, starają uniezależnić się od monopolistycznego dostawcy paszy.

— Za rok — powiada — będziemy mieć mięsa powyżej uszu.

Czy nie jest to prywatny błąd prywatnego inwestora? Aby odpowiedzieć na to pytanie, szukam niedużej masarni państwowej lub spółdzielczej. Tam mają wieloletnie doświadczenie i zapewne mniej skłon-

ności do wiary w cuda. W znalezieniu takiej przetwórni pomaga mi pan Kępa, chce bowiem, abym porównał jego zakład (prywatny) z zakładem państwowym.

Zajeżdżam do niedużej masarni PSS w Kraśniku Fabrycznym, kierowanej przez pana Bogdana Pikulę. Czysto, schludnie i porządnie, chociaż trwa rozbudowa zakładu. Masarnia nie miała do tej pory własnej ubojni, więc teraz, kiedy trzeba zaopatrywać się u rolników, podręczna rzeźnia okazuje się niezbędną. Do końca roku powinna być, zdaniem kierownika, wybudowana, a wtedy zmniejszą się problemy zakładu z zaopatrzeniem w surowiec.

Dowiaduję się tutaj tego samego co u prywatnych producentów: rynek żywnościowy niszczy huśtawka cen, inflacja, brak środków produkcji i wycie przed rokiem stada zarodowego. Zdaniem pana Pikuli, wyraźna poprawa nastąpi dopiero za pół roku.

Tak ma się gospodarstwo rolnicze w Kraśniku, gdzie ziemia dobra, tusta, urodzajna, dająca 65 kwintali pszenicy z hektara. Aby mieć szersze spojrzenie, jadę na Podlasie, a tam 80 procent rolników uprawia ziemię czwartej, piątej i szóstej klasy. Ale o tym — za tydzień.

Andrzej W. Pawluczuk



Pan Roman Łaska, przewodniczący Solidarności Rolników Indywidualnych w Wilkołazie

Zdjęcia:  
Andrzej W. Pawluczuk

## Gorące Wilno

**A**NTOKOL, kościół św. Piotra i Pawła, perła wileńskiego baroku. Z ambony spływają słowa listu biskupów do wiernych, wzywające wszystkich ludzi do miłości i dobroci:

„Taką miłością powinniśmy się kierować szczególnie dzisiaj, kiedy w naszej ojczyźnie podniosła się fala duchowego i narodowego odrodzenia. Nasz naród, kierowany przez światłe umysły, budzi się ze strachu i stagnacji. Postanowił on przypomnieć wszystkim swoją sławną przeszłość, odrodzić pamięćki historyczne, ochronić język ojczysty, chronić przyrodę, leczyc nasze sumienia oraz pokazać rolę kościoła i religii w duchowym i moralnym życiu...”

Wychodzimy ze świątyni. Już przy drzwiach następuje bolesne zderzenie siów o miłości bliźniego z szowinizmem kilku mężczyzn. Podsuwają do podpisu jakąś listę. O co chodzi?

— Zbierają podpisy, żeby i w tym kościele nabożeństwo odprawiać tylko po litewsku. Takie podpisy zbiera się ostatnio przed wszystkimi kościołami, gdzie msze odbywają się m. in. w języku polskim. Zresztą za aprobatą litewskiego duchowieństwa — wyjaśnia Birute.

Nie czas na takie rozmowy. Jesteśmy częścią tłumy, który w ciszy i skupieniu czeka na coś niesłychanie doniosłego. Chwila jest historyczna. Z głębi świątyni wynurza się dostojny orszak. Srebrna trumna lśni w skąpych reflektorach marcowego słońca. U jej podstawy — srebrne orły. Wokół niej — tłum. Nad tłumem góruje figura św. Kazimierza z krzyżem w prawej ręce i lilią w lewej. Rzesze wiernych oblegają ulicę Tadeusza Kościuszki, prowadzącą z kościoła św. Piotra i Pawła do Katedry Wileńskiej. Biją kościelne dzwony. Na ramionach mieszkańców Wilna relikwie patrona po 37 latach wracają tam, skąd w roku 1952 zostały wygnane... Pochód otwierają chorągwie.

— Ten biskup na czele procesji to Julianas Steponawiczus, administrator Archidiecezji Wileńskiej. Ten sam, który przed piętnastu laty wystąpił z hasłem „Nie dać katedry Polakom!”. I swego dopiął, zobaczysz sam... — odpowiada Birute.

Do pochodu dołącza grupka niechlujnie ubranych osobników z transparentami o wymownej treści: „Armia Czerwona precz z Litwy” oraz „Solidarność”. Prawie nikt nie zwraca na nich uwagi; paletają się „na przyczepkę”. Procesja w powadze i ciszy zbliża się powoli do Placu Katedralnego. Trumna ze szczątkami św. Kazimierza zostaje ustawiona w centrum Bazyliki. Mszę celebrować zwierzchnik Kościoła

katolickiego Litwy — kardynał Vincencas Sladkewiczus.

— Kardynał też przez wiele lat przebywał na wygnaniu w miasteczku Kajsjadoris, skąd kierował diecezją. No, ale pieriestrojka dosięgła i Kościoła. Kierownictwa partii i rządu Litwy zaproponowały mu powrót do Wilna i zamieszkanie nie byle gdzie, bo w pałacu biskupim przy placu Gedymina. Zna świetnie język polski. W nim cała nadzieja Polaków, że ostudzi trochę litewski szowinizm... — urywa Birute w pół zdania. Kardynał zwraca się właśnie do wiernych. Mówi tylko po litewsku... Przed ołtarzem wisi przecież litewska flaga narodowa. Czeka cierpliwie na to chociażby jedno polskie zdanie: „Niech będzie pochwalony!”. Niestety...

— Może zapomniał? — pytam sam siebie. A dlaczego papież nie zapomina przywitać swoich wiernych w wielu je-

nego ogromu; widzę wtedy Akropol, Forum Romanum, i czy ja wiem, co jeszcze...

W roku 1387, gdy wprowadzono chrześcijaństwo na Litwie, wielki książę litewski Jagiello kazał na terenie Zamku Dolnego zbudować pierwszy kościół — Katedrę Wileńską, w miejscu, gdzie w dawnych czasach pogańskich stał ołtarz Perkuna. 600-lecie chrztu Litwy zostało zauważone przez władze państwowe. „Czerwony Sztandar” zamieścił relację z oficjalnych uroczystości. Rocznicą była nie tylko wielkim świętem, ale także bolesnym wyrzutem sumienia, przypomnieniem o wielu niszczących świątyniach.

Katedra nie ma prawa źle wyglądać — to wizytówka Wilna, orestaurowana pieczołowicie w ciągu dwóch ostatnich lat (poprzedni wygląd przybrała freski z XIV wieku i malowidła ścienna). Ale i ona przechodziła różne koleje losu. Kolejne pożary, wojny, bar-

mierza, a później ogłosił go patronem Litwy. Ciekawostką jest fakt, że buła i chorągiew z wizerunkiem św. Kazimierza (wykonano ją w Wilnie, a poświęcono przy grobie św. Piotra w Rzymie) złożone były najpierw w wileńskim kościółku św. Stefana (znajduje się on w okolicach dworca kolejowego, dziś w ruinie). Król Zygmunt III uznał, że kaplica św. Kazimierza jest zbyt skromna i skromna. Rozpoczął więc budowę nowej, wspaniałej kaplicy, tak pięknej, że nawet wielowiekowe grabieże nie zdołały zaćmić przepychu marmurów sprowadzonych z Włoch i Karpat oraz piaskowców ze Szwecji. Na przepięknym gzymsie z czarnego marmuru widnieje złocony napis: „Sancti Casimiri”. Od dziś nie jest to już informacja bez pokrycia. Prochy św. Kazimierza wróciły do siebie...

— Idziemy! — trąca mnie Birute. Tłum powoli wylewa się już na zewnątrz, rozpełza kolorową magmą po

# MIĘDZY OSTRĄ BRAMĄ A

## Henryk Makarski

zykach, w tym po litewsku? Tak długo czekali wileńscy Polacy na to, by Galeria Obrazów stała się znów świątynią rzymskokatolicką. I stała się. Ale polskiej pieśni religijnej już się tam za próg nie wpuszcza. Polakom ma wystarczająco wyjątkość polski kościół Dominikanów i kilka innych świątyni, w których odprawia się nabożeństwa z kazaniem w dwóch, na przemian, językach: litewskim i polskim. Proboszcz parafii św. Teresy i Ostrej Bramy zabiega, by i przed Matką Litością odprawić tylko po litewsku.

Jakim prawem wyślanicy Chrystusa lekceważą postanowienia soboru, który zezwolił każdemu człowiekowi chwalić Boga w swoim własnym języku? Czyżby przykazania Nowego Testamentu chcieli zastąpić jakąś pogańską segregacją? Niewolników ma obowiązywać religia i język panów? Czy tak ma wyglądać chrześcijańska miłość bliźniego? — medytuję w duchu. Bazylika drży od nabożnych pieśni.

— Litwinów też bolalo, gdy nie mogli się doprosić przywileju mszy we własnym języku w bazylice w Sejnach... — odgaduje moje myśli Birute. I dodaje trzeźwo, że na powołanie w Archidiecezji Wileńskiej pomocniczego biskupa Polaka raczej trudno liczyć, więc trzeba się cieszyć z tego, co po polsku jeszcze jest. A nie jest tak znowu mało, np. dwujęzyczne kazania w dwunastu (na 26) wileńskich kościołach rzymskokatolickich.

**L**EKROC jestem w wileńskiej Bazylice, zawsze ogarnia mnie to potężne uczucie pokory wobec wielkości tego gmachu, jego staroży-

tarzństwa... Ostatni raz gruntownie przebudowywana była w końcu XVIII wieku, według planu architekta i profesora Uniwersytetu Wileńskiego, Wawrzyńca Gucewicza (według Litwinów. Laurynasa Gucewiczusa).

W wyglądzie zewnętrznym dzisiejszej Katedry zadziwia mnie duża liczba kolumn i posągów. Sześć kolosalnych kolumn stoi przed wejściem do świątyni, a za nimi posągi czterech ewangelistów. Także wzdłuż ścian bocznych znajdują się kolumny, za którymi od strony południowej stoją posągi królów, a od północnej — świętych. Bazylika nosi imię św. Stanisława, ale najpopularniejszym imieniem męskim na Litwie jest — Kazimierz. Słynne odpusty i jarmarki organizowane są w Wilnie od niepamiętnych lat w dniu 4 marca, właśnie na cześć św. Kazimierza, pierwszego świętego z Litwy, patrona litewskiej młodzieży.

Kazimierz (1458—1484), jedno z trzynastoletniej dzieci najpotężniejszego monarchy Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego, Kazimierza Jagiellończyka, był w wieku 17 lat namiestnikiem królewskim na Litwie, zdobywszy uprzednio staranne wykształcenie u Jana Długosza w Starym Sączu. Zajmował się głównie dobroczynnością, poświęcał wiele uwagi chorym i biednym. Znał z ogromnej pobożności i uczciwości, zmarł w wieku 26 lat, a ciało jego złożono w kaplicy, w której najchętniej się modlił, w jednej z 10 kaplic Katedry, dziś — najpiękniejszej.

Wśród ludności wileńskiej panowało przekonanie, że grób królewicza ma cudowne właściwości. W roku 1602 papież Klemens VIII kanonizował Kazi-

placu, nad którym góruje katedralna dzwonnica o niespotykanym, okrągłostrzebiastym kształcie. Znaczący twierdzą, że dolna jej część była jedną z wież murów obronnych Zamku Dolnego; jedyny to dziś ślad tamtych czasów. Najniższa kondygnacja dzwonnicy została więc zbudowana w wieku XIII, a może nawet wcześniej, razem ze świątynią Perkumasa. Podobno była to wieża wielkiego kapłana, z której ogłaszał zebranemu ludowi wyroki bogów. Dziś w wieży-dzwonicy funkcjonuje biuro podróży. A tymczasem ja ciągle podróżuję w czasie, co nie podoba się mojej przewodniczące.

— Musimy jeszcze spotkać się z Jonasem, czeka na nas! — komunikuje tonem nie znoszącym sprzeciwu. Sprzeciw zresztą nie jest przeze mnie planowany, bowiem Jonas „mieści się w temacie”, zwłaszcza w takim dniu jak dzisiaj.

**K**AWIARNIA literacka u zbiegu al. Lenina i placu Gedymina („Literatu svataine”) ma swój urok. Wozaka z batem w niej nie uswiadczysz, a wręcz przeciwnie. Trafem jakimś przetrwał w tym lokalu przedwojenny nastrój. Spotkanie z Jonasem może wypadłoby autentyczniej w szacownych murach jedynego na Litwie (i w całym Związku Radzieckim) rzymskokatolickiego seminarium duchownego, ale z Katedry Wileńskiej do Kowna jest 100 km, a do kawiarni literackiej przy al. Lenina tylko 100 metrów. No i szampan z kostkami lodu smakuje wybornie...

— Żeby się dostać do seminarium, musiałem spełnić wiele wysokich wymogów, m. in. dostarczyć opinię z...

**W**DNIACH 21—24 września odbywała się w Białymstoku I Międzynarodowa Konferencja pod hasłem: „Wilno — Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur”. Jej organizatorami i sponsorami były wprawdzie dwa uniwersytety (filia UW w Białymstoku oraz Uniwersytet Wrocławski), a także Akademia Medyczna, lecz zdominowały tę imprezę trzy Towarzystwa: Łączności z „Polsnią”, Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna. Uczestników ponad 200, towarzystwo międzynarodowe — od Włoch, przez Izrael, Węgry, Holandię, po przedstawicieli Polonii litewskiej.

Obrady toczyły się w trzech sekcjach, nie licząc posiedzeń plenarnych. Te odbywały się w Pałacu Branickich, siedzibie Akademii Medycznej. Tematy różnorodne. Od kulturotwórczej roli polskiego niegdyś Wilna, owego „Rzymu Północy”, poprzez tematykę okupacji niemieckiej i radzieckiej, eksterminację Żydów, po regionalizm językowe i Wileńszczyznę w twórczości Mickiewicza, Orzeszkowej, Konwickiego i Wańkowicza.

Hasłem wywoławczym była jednak Wileńszczyzna jako niepowtarzalna Wieża Babel wielu kultur, narodów i narodowości. Przedstawiciele tych kultur i narodowości — egzotycznych, rozproszonych, zanikających — sprawili, że żywił polski owego wileńskiego tygla stał się jednym z kilku; może najliczniejszy, może tam najważniejszy, w końcu wszakże nie jedyny.

To rozłożenie rang i znaczeń nacyjnych miało tę zaletę, że cała impreza nie stała się wydarzeniem jednoznacznie polsko-ziomkowskim, politycznie dwuznacznym, by nie rzec — rewizjonistycznym. Prawo do Wilna i Wileńszczyzny jako ojczyzny już tylko duchowej, przyznawali sobie po równo Polacy i Karaimowie, Tatarzy i Żydzi, Białorusini i Litwini, Niemcy i Czesi. Bardzo to delikatne rozróżnienie. Ziomkostwo Huberta Czai, martwy przez dziesięciolecia irytował nas martyrologią „wypędzonych” z Ziem Zachodnich, do dziś jeszcze podobno żyjących „na walizkach” — jest tego do-wodnym przykładem.

Co innego, gdy zbiera się grupa starszych pań i panów, aby snuć sentymentalne wspomnienia z krainy dzieciństwa, teraz już przegrodzonej granicami państwa — a co innego, gdy takie zgromadzenie zamienia się w sabat „wypędzonych”, co to z palcem na przedwojennych mapach zapewniali siebie i świat, że to im się należy, oni tam jeszcze powrócą: oni, albo ich dzieci i wnuki. Na zjeździe białostockim nie było map, nie było pretensji granicznych, choć w głosach i słowach wyczuwało się, jak bolesny to temat, jak brutalnie obszli się nowi właściciele tych ziem z owym żywołem polskim, choć równie brutalnie spowiewiali żywioł litewski, rosyjski, białoruski. Przeciwnie, wśród organizatorów i uczestników dawała się wyczuwać obawa, aby takie akcenty nie pojawiły się w wystąpieniach, by sentymenty i resentymenty nie przesunę-

ły akcentów i emocji z historycznych, metorycznych rozważań, na modne tu i ówdzie marzenia rewindykacyjne. Obawy takie nie opuściły także Czesława Miłosza, Przybywającego właśnie w Polsce noblistę organizatorzy zaprosili do uczestnictwa w sesji. Odpisał, że nie przybędzie, gdyż obawia się, że zjazd może przekształcić się w imprezę sentymentalno-nacjonalistyczną, podczas gdy on czuje się nadal obywatelem Wielkiego Księstwa Li-

wypowiedzi senatora Romaszewskiego dla Radia Wolna Europa w sprawie mniejszości polskiej na Litwie. Senator lekką ręką podarował Litwinom te tysiące Polaków mieszkających na Litwie, rzekomo będących i czujących się Białorusinami polskiego pochodzenia. W ostatnim czwartym dniu sesji zrehabilitowano wspólny dokument adresowany na ręce Marszałka Senatu, a zawierający mocne słowa dezaprobaty dla enuncjacji senatora Romaszew-

# ACH, TAM,

## Henryk Pająk

tewskiego! Zaskoczenie taką odpowiedzią było na sali spore, lecz chwilowe. Rozbiór logiczno-polityczno-narodowościowy decyzji Czesława Miłosza nie był bowiem trudny. Poeta rzeczywiście czujący się obywatelem Wielkiego Księstwa, w sumie kto tam wie, czy w ogóle jeszcze Polakiem, skoro panslawizm i Unia chwilowo nieaktualne — musiał chuchnąć na zimne i nie poruszyć, a może nawet obrazić swoją obecnością Braci Litwinów!

Niestety, zjazd rozpoczął się od protestów. Protest, który poparli niemal wszyscy zebrani, dotyczył niezręcznej

pryncypia narodowościowe na Litwie. Oliwy do ognia dołał referat Krzysztofa Woźniakowskiego z Krakowa pt. „Początek drogi — od Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie, do Związku Polaków na Litwie”. Już sama konstrukcja tematu jest obiecująca: początek drogi! Jakiej drogi? Drogi do Wilna? K. Woźniakowski „przejechał” się po tak politycznie nośnych ostatnich sprawach, jak aktualne napięcia międzynarodowościowe na Litwie, jako podstawie relacji między Stowarzyszeniem Spo-

organizacji komsomolskiej. Tak, tak! — uśmiecha się Jonas. To wyznanie najpierw mnie zaskoczyło, zdziwiło; co może mieć wspólnego komsomolec z księdzem? Chociaż, gdyby się nad tym przypadkiem głębiej zastanowić, stanie się on całkiem sensowny... Tym bardziej, że od kandydatów na księży wymaga się także solidnej wiedzy ogólnej, inteligencji, znajomości języków, odpowiadającej działalności i nienagannej moralności.

Jonas zaliczył II rok na prawie samych piątkach i w ciągu czekających go jeszcze czterech lat nauki nie chce być gorszy. Pasjonują go języki starożytne: grecki i łaciński. Ma świadomość braków kadrowych w litewskim duchowieństwie, zauważalnych na każdym kroku; na terytorium Litwy jest 630 kościołów rzymskokatolickich i zaledwie 660 księży. Najwięcej pustych kościołów stoi po wsiach, i tam widzi swoją przyszłość Jonas; chce

gietłło oraz jego brat, ksiądz Witold? Kto zliczy polskie zakony działające na Litwie: dominikanów, franciszkanów, benedyktynów, bernardynów?

Jonas opowiada o swoim seminarium. Położone jest w pięknym miejscu starej części Kowna, tworząc całość z XVIII-wiecznym kościołem i czworobokiem parterowych oficyn, mieszczących sypialnie kleryków. Z sypialni widać dziedziniec, cały w kwiatkach. O kwiaty dbają sami klerycy, zresztą o porządek we wszystkich pomieszczeniach też. Tyłko kuchnia nie jest na ich głowie; prowadzona jest przez cywilne kobiety z miasta. W latach międzywojennych zabudowania seminarium były także siedzibą biskupstwa i parafii. Stalinowscy siepacze wywieźli większość księży w głąb Związku Radzieckiego. Powrócili tylko nieliczni. Do tej pory w części sal wykładowych seminarium unęduje komisja poborowa, a

natzyści mają miesiąc praktyki liturgicznej i dwa miesiące wakacji, no i ferie świąteczne, jak inni studenci. Stypendyów nie otrzymują, bo uczelnia utrzymywana jest z dobrowolnych datków wiernych.

**P**o szampanie już tylko wspomnienie, Jonas odszedł, Birute też — jak przypuszczam — najchętniej by się „urwała”, ale poczucie obowiązku nakazuje jej uzupełnić nasze wrażenia krzepiącym komentarzem. Wynika z niego, że sytuacja religii w Litewskiej SRR jest coraz lepsza. 1 listopada i 25 grudnia uznano już za dni wolne od pracy, obiecano także „uświęcić” dzień 15 sierpnia (święto Zasnęcia Bogurodzicy).

Podziwiam przebojowość Litwinów, którzy umiejętnie „przykleili” do piekielniczki swoje interesy narodowe i religijne. W maju 1988 roku, natychmiast po powrocie z watykańskiej audiencji u Jana Pawła II, biskupi litewscy zostali zaproszeni przez władze państwowe Litwy na szczyt rozmów. Nie ukrywano w niej błędów przeszłości. Mówiono o bezprawnym mieszaniu się w wewnętrzne sprawy Kościoła, o częstym myśleniu świeckością z ateizacją itp. Na efekty rozmowy nie trzeba było długo czekać. Zwracanie wiernym kolejnych świątyń przestało być sensacją. Księża litewscy biorą aktywny udział w życiu społecznym, zwłaszcza w ruchu „Sajudis”. Przemawiają na wiecach, udzielają wywiadów prasowych, nie kryją się za gardą religijnej neutralności.

Już po powrocie do Polski przeczytałem agencyjny komunikat o tym, że na Litwie ukazał się w 100-tysięcznym nakładzie pierwszy numer czasopisma „Kataliku Pasaulis” („Katolicki Świat”), przeznaczony dla osób wierzących. Edytorem jest grupa wydawnicza, działająca przy litewskiej konferencji episkopatu Kościoła katolickiego. 10 lipca 1989 roku telewizjowicie oglądający

program Telewizji Litewskiej usłyszą po raz pierwszy z ekranu słowa katolickiego powitania: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Zwracając się do społeczeństwa, przewodniczący biskupów Litwy, kardynał Vincentas Sladkewiczius, powiedział: „Niemał za cudo, świadczący o zmianach, zachodzących w naszym kraju, uważamy to, iż środki masowego przekazu, prasa, radio, telewizja, zwróciły się ku słowu bożemu, jako światła i prawdzie. Cały świat, a w szczególności nasz kraj, godnie oceni ich za to, że służą nie fałszowi, lecz prawdzie; nie nienawiści, lecz miłości; nie zemście, lecz pojednaniu. My również tego pragniemy...”.

Stałym redaktorem, prowadzącym audycje religijne w TV, konferencja biskupów Litwy mianowała kandydata nauk fizyczno-matematycznych auli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, usiłując dojrzeć chór cerkiewny z Moskwy. Od cerkiewnych śpiewów drżały mury KUL, a w sali robiło się coraz ciasniej i ciasniej...

Świat się wylania z chaosu i formuje ponownie... — mruzczałem w zafascynowanej do granic wytrzymałości auli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, usiłując dojrzeć chór cerkiewny z Moskwy. Od cerkiewnych śpiewów drżały mury KUL, a w sali robiło się coraz ciasniej i ciasniej... Nazajutrz (tak się złożyło) oglądałem dwa filmy dokumentalne o religiach i katolikach w ZSRR, prezentowane przez doc. Witalija Gabielko i Władimira Smirnowa w... kościele rzymskokatolickim przy ul. Narutowicza w Lublinie, z udziałem biskupa ordynariusza, księdza profesora dr. Bolesława Pylaka. Kościół ten, pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej, został ufundowany przez... Władysława Jagiełłę, a zbudowany przez Krzyżaków, wziętych do niewoli pod Grunwaldem... Życie jest bieżącą...  
(Koniec odcinka 2. — c.dn.)

## OSTRYM FELIKSEM

posiąść rzetelną wiedzę i służyć wiernym. Marzy o pielgrzymce na Jasną Górę, o szansie zakupu polskich książek i czasopism. Na solidność drogi pocztowej nie zawsze można liczyć.

— Wiara musi ludzi łączyć, a nie dzielić... — mówi ze smutkiem, komentując właśnie narodowościowe w litewskich świątyniach. Niepokoi go także mentalność litewskiej młodzieży, wychowanej w duchu materialistycznym, inaczej już myślącej niż ich rodzice. Młodzi nie potrafią przeżywać uczuć związanych z wiarą, nie pojmują wielu symboli religijnych. W świątyniach czują się pusto, beznadnie. Po prostu — nie potrafią się modlić i do kościoła często uczęszczają tylko na pokaz.

— Bardzo niepokojące jest to, że młode pokolenie Litwinów nie bardzo uświadamia sobie, co ich łączy z Polakami. Biała plama, amnezja. Bo w Wilnie pokazuje im się tych związków coraz mniej, a poza Wilnem to już prawie nic, nie ma o czym mówić... — dodaje Jonas.

Cóż, polskiego dziennikarza nie musi agitować w tej mierze. Zrobiły swoje lata zaborów, carskie prześladowania. Parafie, zakony, kościoły zamieniono na cerkwie prawosławne i magazyny cementu. A najnowsza historia Kościoła katolickiego na Litwie? Też trudno zapisać ją po stronie pozytywnów w kształceniu młodzieży. A wzajemne pretensje i urazy między katolikami litewskimi i polskimi? Ilu młodych Litwinów dzisiaj wie, że rocznica chrztu Litwy wiąże się z naszą wspólną historią? Ze pierwsze kościoły na Litwie fundował polski król Władysław Ja-

siedzibę biskupa zajmuje szkoła muzyczna...

Seminarium zawsze kojarzyło mi się z czymś tak tajemnym i poważnym, że aż nudnym. Tymczasem Jonas z takim ogniem opowiada o urozmaiconym trybie życia 40-osobowej gromadki młodych Litwinów (ale także Rosjan, Ukraińców i Polaków), że i mnie się on udziela. Służenie do mszy, uroczyste chwile Komunii Świętej, pielęgnowanie ogrodu, gra w koszykówkę. No i niecodzienna atmosfera sali wykładowej (językiem wykładowym jest oczywiście litewski): obrazy ewangelistów, posągi, cizka... Po każdym roku studiów semi-



Perła wileńskiego baroku

Fot. Danuta Rynkiewicz

teczo-Kulturalnym Polaków Litewskich, a Komunistyczną Partią Litwy, Litewskim Ruchem na Rzecz Przebudowy „Sajudis”, Stowarzyszeniem „Wilnija”, Socjalistycznym Ruchem na Rzecz Przebudowy na Litwie „Vienybė — Jedność — Jedinstwo”, oraz stowarzyszeniami innych mniejszości narodowych na Litwie. W dyskusji wystąpił m.in. Litwin studiujący na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i w tak zwanych ostrych słowach potępił

ojczyzną wielu narodów i kultur, to do tego trzeba dorosnąć. Niech się Litwini nie obawiają, że my im chcemy odebrać Wilno. Rozumiemy ich obawy. Są agresywni, bo czują się zagrożeni”.

Wyłonił się problem pojęcia ojczyzny. Rozróżniano tam dwie: jedną — tę realną graniczną, państwową, oraz drugą — ojczyznę duchową, ojczyznę korzeni, dzieciństwa, niezależną od aktualnych granic. Uczestnicy konferen-

Ministra Kuronia bawiącego z wizytą we Lwowie, gdzie tam z boku i nocą wyrysowane, powitały napisy: „Oddajcie nam Przemysł”. Możliwe, że to ekstrema, że dziecinada, podobnie jak w Lublinie: „Precz z komuną”, „Sowietci do domu”, a na następnej ścianie, tą samą ręką, tym samym flamastrem: „Kocham Gołkę”. Gdy przybędzie do nas nowy sekretarz Ukrainy, Iwaszko, to możliwe, że gdzieś tam z boku migiemu napis: „Oddajcie nam Lwów”

nimy do nich stosunku nawet wtedy, gdy każą nam przenieść karmelitanki choćby do Suwałk, bo to są mniejszości niegroźne, ciężko doświadczone przez los i historię. Ciut inaczej rzecz ma się z Ukraińcami, Białorusinami, Niemcami, Łemkami, Kaszubami. Sporo tu grzeszków powojennych, co prawda pochodnych, rewanzystowskich za czas wojny. Białorusini białostoccy, na przykład zaczynają żądać wydzielenia autonomicznego rejonu w Białostockiem, proponują Sokółkę, Bielsk Podlaski. My się trochę na to burzamy, na co oni — że przecież Polacy litewscy też żądają rejonu autonomicznego na Litwie. Jutro pewnie Ukraińcy zażądają takiego rejonu gdzieś na Chełmszczyźnie, Niemcy na Śląsku i ani się obejrzymy, a tu Polska okaże się być jakimś małym, samozwańczym państwkiem, bez etnicznych korzeni, jakiś tam bękart Poczdamu czy złego humoru Stalina. Przed wojną było inaczej, to znaczy konkretnie, bez rękawiczek: twardo trzymaliśmy Żydów, Białorusinów i Ukraińców w ryżach, bo razem wzięci stanowili nie żadną, tam mniejszość, tylko niemal połowę ludności Polski. Rdzennych Karaimów żyje w Polsce coś około dwustu, Ukraińców i Białorusinów dziesiątki tysięcy, a w razie czego to okaże się, że setki tysięcy, toteż my bardzo lubimy Karaimów i Tatarów, a piszący te słowa nawet przygotowuje cykl wywiadów z ich liderami.

Bez względu na to, czy zjazd białostocki był złotem wypędzonych, wy-

## NAD NIEMNEM...

roszczeniowe, dyskryminacyjne akcenty tego referatu, a w kontekście — wystąpienia całej tej konferencji. Z kolei następni dyskutanci dawali „odpór” Litwinowi, iż rzecz wygąska w rezultacie heroicznych, pokojowych wysiłków organizatorów zjazdu. W sumie jednak obawy Czesława Miłosza, przynajmniej w tych fragmentach zjazdu, okazały się dość uzasadnione.

**W**TYCH gorących momentach już nikt nie pamiętał o deklaratywnie pokojowych, mądrych sentencjach wypowiedzianych przez jedną z dyskutantek trzy dni wcześniej: „Być

cji, zapewne w przeważającej ich większości, widzieli Wilno i Wileńszczyznę jako tę drugą, duchową formację. Doc. Elżbieta Feliksiak posłużyła się w swym referacie przykładem Norwida. Poeta zawsze czuł się obywatelem świata, dzieckiem i uczestnikiem jego kultury. A jednocześnie, głęboko i bez reszty — Polakiem.

To wszystko „ładnie — pięknie”, ale ta narodowościowa bomba z opóźnionym zapłonem, jaką podłożył Stalin w różnych zakątkach swego imperium, wcale nie została rozbrojona, ona sobie cyka i to coraz głośniejsze — od Litwy do Tbilisi, od Armenii po Bug.

ale na pewno cała wina za ten wyskok nie spadnie na tego, co kocha Gołkę. Bo zegar cyka.

Inaczej sytuują się w politycznych i narodowościowych emocjach mniejszości małe, szcątkowe, egzotyczne, nie zgłaszające żadnych pretencji terytorialnych, nie wołające o autonomię, język, granice. To mniejszości dla nas wygodne, pożądane, towar eksportowy, wizytówki w sferze tolerancji, praw człowieka. Mamy takich kilka. Są to Tatarzy, Karaimowie, Cyganie, Żydzi. Nie boimy się ich, posłusznie zdejmujemy obuwię wchodząc do ich meczetów, współczujemy Żydom i nie zmie-

Dokończenie na str. 8

Dokończenie ze str. 1

Trapszo i Asnikowski. Tutaj znalazło swoje miejsce pierwsze w Królestwie Polskim kino. Ze względu na unikalne sklepienie o rzadkich własnościach akustycznych stawiany jest on w rzędzie pierwszych tego typu sal Europy. Od ponad stu lat budynek, zwany dziś Teatrem Starym, jest własnością rodziny Makowskich.

W 1967 roku budynek ten został wpisany do rejestru zabytków. Od tej pory opiekę nad nim sprawują instytucje powołane do ochrony zabytków przed dewastacją i zniszczeniem. Jak sprawują — widać. Z budynku płatami odpada farba, pordzewiałyte sztaby i kłódki u drzwi świadczą o częstych wizytach konserwatorskich. Wokół walają się swoje drutu i kawałki desek. Tuż przy ścianie frontowej — duży śmietnik, wokół niego odpadki i smród.

Taki stan trwa już osiem lat, od 1981 roku, kiedy to zamknięto kino „Staromiejskie”, odłączono prąd, gaz i zabrano kłódki na drzwiach. Z czasem obiekt przerosł się w melinę, w której na libacjach spędzają czas ludzie z tzw. marginesu społecznego. Powyżali szyby, zdewastowali wnętrze.

Teatr Stary umierał. Powoli, ale skutecznie i nieodwołalnie. Opuuszczony, zapomniany, bez walki poddawał się czasowi. Grzyb i wilgoć zrobili swoje. Nikt nie uczynił niczego konkretnego, by przynieść ratunek konającemu zabytkowi. Został skazany na zagładę. A przecież urzędnicy od zabytków musieli wiedzieć o jego randze i znaczeniu! Jakby czekali, aż Teatr Stary sam się zawali i będzie po kłopotcie.

## OSOBY DRAMATU

Jest ich wiele. Instytucje; mali i wielki urzędnicy. Wydający decyzje i tylko wykonujący polecenia. Decyzje często głupie i krótkowzroczne, jak na przykład zgoda na dalszą eksploatację budynku przez Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów, po roku 1967. Eksploatację intensywną, przerwaną dopiero w 1981 roku ze względu na bezpieczeństwo przebywających tam ludzi. W 1970 roku wydano bezprawną decyzję zezwalającą na wniesienie wewnątrz Teatru Starego nowej ściany; po to, by z części budynku utworzyć biura dla PTTK, zniszczono zabytkowy układ wnętrza!

Również inni, po OPRF-ie, użytkownicy nie mieli serca dla Teatru Stare-

go. Ani pieniędzy. Kiedy w 1983 roku Agencja Artystyczna „Estrada” przejęła obiekt, obiecywała wiele. Oprócz planów utworzenia tutaj Teatryku Rozrywki, zobowiązała się do opieki nad zabytkiem, m.in. do przeprowadzenia konserwacji. Gdy jednak rok później budynek nie znalazł się w planach rewaloryzacji Starego Miasta, firma ta zrezygnowała z planów i z Teatru Starego.

Po pewnym czasie obiektem zainteresował się Teatr Muzyczny, poszukujący rozwiązania swoich problemów lokalowych. Zapalał starczyło jedynie na ułożenie programu użytkowania. Bliższe zapoznanie się z katastrofalnym

stanem budynku studziło zapalenie wszystkich.

Ostatnimi, głównymi osobami dramatu jest dwóch przeciwników: Państwo i współwłaściciel Teatru. Państwo reprezentuje Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, a współwłaścicielem jest pan Jerzy Makowski. Przeciwnicy toczą wojnę przez długie lata, i bez żadnych wymiernych efektów.

Jerzy Makowski jest wiekowym, dobrze trzymającym się mężczyzną. On jeden, spośród trzech braci, czuje do Teatru niebywały sentyment. Pragnie za wszelką cenę tę schedę po przodkach utrzymać w rodzinie. Niestety, pan Makowski nie jest majątny i nie stać go na przeprowadzenie remontu. Wśród urzędników ma opinię dziwaka, „abstrakcjonisty”, człowieka, którego nie ma granic. Poza tym jest uparty i zna swoje prawa. Obowiązkami nieco mniej.

## AKCJA

W myśl przepisów ustawy o ochronie dóbr kultury i muzeach — przede wszystkim właściciel ma obowiązek dbać o stan zabytku. Jeżeli tego nie czyni, to podlega karze grzywny, a nawet więzienia. A kiedy grozi katastrofa budowlana, konserwator ma prawo wydać właścicielowi nakaz przeprowadzenia remontu. Jeżeli w ciągu miesiąca nie otrzyma od niego wiążącej odpowiedzi, to konserwator może wydać polecenie przeprowadzenia tego remontu za państwowe pieniądze. Kosztami prac obciąża się wówczas hi-

lanem budynku studziło zapalenie wszystkich.

Teczki pęczniały od pism, odwołań, decyzji i napomnień, a teatr się walił.

W 1987 roku zapadł wreszcie ostateczny werdykt: jeśli obiekt nadal pozostanie w rękach prywatnych, do żadnego remontu ze środków państwowych nigdy nie dojdzie. A pieniędzy, nawet na wykup, nadal nie było. Taką sytuacją mogła trwać latami.

I tak na pewno by się stało, gdyby wszystko nadal pozostało na poziomie gabinetowych rozmów i utarczek prawnych. Znalezli się jednak ludzie, którym sprawa Teatru Starego leżała szczególnie na sercu. Mieszkańcom Lublina powiedzieli: swego nie znacie! Roznieśli wieść o haniebnym stanie teatru. Pierwszy napisał o tym w 1986 roku Waldemar Sulisz w artykule zatytułowanym „Requiem dla Teatru Starego”. Przedstawił jego dawną chwałę i dzień dzisiejszy.

Drugi atak nastąpił podczas audycji lubelskiej „Poranek z radiem”. Z relacji reporterki słuchacze mogli dowiedzieć się o wyglądzie zdewastowanego wnętrza teatru. Podczas tej audycji powiedziano, że jeżeli w ciągu dwóch najbliższych lat (był rok 1986) nie zrobi się w budynku remontu, to później nie będzie już co ratować. Po tej audycji, jak i po późniejszych poruszających ten sam temat, w redakcji rozdzwoniły się telefony. Ludzie zgłaszali swoją pomoc w ratowaniu zabytku — w formie datków, udziału w pracach remontowych. Padło wówczas



Fot. Waldemar Sępień

## ACH, TAM, NAD NIEMNEM...

Dokończenie ze str. 6—7

sledzonych czy repatriowanych, to faktem jest, że bez ich sentymentów i resentymentów, historia, cały europejski image o ziemi wileńsko-litewskiej byłoby zabobone, niepełne. To są nosiciele wiedzy i pamięci o jej kulturze, historii, dramatach. Dowodnie wykazał to przebieg sesji, merytorycznie arcybogatej, w wielu przypadkach łączącej wieloletnie badania specjalistyczne z osobistym udziałem, autopsją sięgającą głęboko w czasy przedwojenne. Aleksander Dawidowicz na podstawie własnych przeżyć mówił o holocaustie Żydów wileńskich, Izzy grozy i współczucia błyskały w oczach starych partyzantów, gdy Halina Paśierbińska mówiła o swoim pobycie w więzieniu na Łukiszkach i o Ponarach jako najtragiczniejszym miejscu straceń. Andrzej Barański, na przykładzie własnej rodziny, jej trzech pokoleń, przedstawił aspiracje inteligencji polskiej po Powstaniu Styczniowym. I tak, jeden po drugim, większość z tych 80 referatów zaczynała się układać w encyklopedię wiedzy o kulturze, muzyce, literaturze, architekturze, medycynie wileńskiej, o historii tych ziem oraz ich mniejszości narodowych, zdominowanych wszakże przez kulturę i żywioł polski. Wileńszczyzna jest to wspólne dziedzictwo Polaków i Litwinów, które ustępujące pokolenie autochtonów przesiedlonych na zachód przekazuje im w cennym darze. Litwa i Polska były skazane na siebie przez długie wieki, w symbiozie raz chłiane, raz nie chłiane, ale nigdy żadnej ze stron na nie nie wychodzącej.

**O BRADY** toczyły się w auli im. J. Marchlewskiego. Na bocznej ścianie tej auli wisiał do dziś plakat

na marmurowa tablica z uroczystą inskrypcją tej treści:

„Tu mieściła się w 1920 roku siedziba Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski Przewodniczącym którego był JULIAN MARCHLEWSKI”

Tak oto historia lubi pisać figle: jedni przychodzili do tej sali zgłądać republikę rad, innym, teraz, marzy się autonomia tam, skąd tamci nadsięgnęli. Ale wieje też nowe w Białymstoku. Na frontonie gmachu Urzędu Wojewódzkiego, zupełnie niedawno i bardzo uroczyste, odsłonięto wielką tablicę tejże treści:

„Budynek ten w latach 1940—41 i 1945—52 był siedzibą NKWD a następnie UB To miejsce Przesłuchań i kaźni”

Podobna, niemal identyczna w treści i kształcie tablica zawieszona na gmachu kina „Ton”. Informuje ona przechodniów i kinomanów, że w tym budynku po wojnie skazywano na śmierć żołnierzy polskiego podziemia. Czy Julian Marchlewski ostoł się podmuchom czasu i zmiennych gustów? Bardzo wątpliwe.

W tymże kinie dla uczestników sesji wyświetlano „Lawę” w reżyserii Konwickiego. No cóż, wobec każdego filmu, w którym gra Holoubek i Maja Komarowska, obowiązują wyłącznie superlatywy, ale piszącemu ten raport obraz ten najwymowniej się nie podobał. Był przecukrzony, pretensjonalny, ociekał patriotyzmem tanim, natrętnym, martyrologią i krwią kolorystyką zarówno salonów, jak i obrzędu dziadów, a „przebiłki” do współczesności, np. msza papieska przed Pa-

łacem Kultury, to nieporozumienie, to zwyczajne nadużycie tekstu „Dziadów”, cierpliwości i tolerancji mistrza Adama. Podobnie ostatnio nadużył cierpliwości i tolerancji lubelski „Dekameron”. Miejscowa prasa oburzyła się na oburzenie władz kościelnych (w ich byłym budynku wystawiono tę sprostność), ale scena kopulacji na deskach, to jednak nie to samo, co opis tej sceny w oryginale.

Mickiewiczowskiemu Guślarza zamienił Konwicki na Maję Komorowską. Postarzał ją serłą bruzd i zmarszczeń na stosowną wieźnię, niepotrzebnie zresztą, bo jest to aktorka dostatecznie brzydka w naturze, ale dlatego kobietą zastąpił Guślarza, to tylko sam Konwicki wie. Przekomicznie wygląda w scenie końcowej dostojny nestor polskiego aktorstwa, czyli mistrz Holoubek, w wywrotnej kibitce biorący ostry wiraż tuż przed kamerą. Widać gołym okiem, że cały wysiłek artysty skupia się w tym momencie na utrzymaniu równowagi w pojeździe. Znęca nie się nad „Dziadami” Mickiewicza staje się jakby immanentną częścią martyrologii tego dzieła. Całe szczęście, że miłość Gustawa jest tam arcydelikatna, romantyczna, bo w przeciwnym razie przedstawienie „Dziadów” już od dawna kończyłyby się zborową kopulacją gdzieś w Salonie, w celi czy na cmentarzu.

Sesja białostocka nazywała się: „I Międzynarodowa Konferencja”. Gdzie odbędzie się druga i następne? Może już w Wilnie? Czemu nie! Karaimowie czekają tam na nas z otwartymi ramionami...

Henryk Pająk

**WIADOMOSC** brzmiała alarmująca: lubelskie Biuro Wystaw Artystycznych zawiesza swoją działalność. Rozmowa z jego dyrektorem, Andrzejem Mroczkiem, potwierdziła prawdopodobieństwo takiego końca działalności. Ale tylko prawdopodobieństwo... Jeżeli nic się nie zmieni.

„Już rok temu — mówi dyrektor — w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego dawano nam do zrozumienia, że pieniędzy dla nas będzie coraz mniej. Odczuwaliśmy to zresztą na własnej skórze. Teraz jednak już wiadomo, że pieniędzy na dalszą działalność nie będzie. To co? Mamy zamknąć nasze galerie, grzecznie się ukłonić i rozieść do domów?”

Przez specjalizację w prezentowaniu sztuki awangardowej lubelskie BWA zyskało opinię galerii ambitnej. Jego program nigdy nie był kwestionowany przez resort. Jako placówka istniejąca dzięki mecenasowi państwowemu, dziś, dzięki niemu, skazana jest na zagładę.

Dla wielu, stojących godzinami po kawałek schabu, zamknięcie jednej galerii nie jest warte uwagi. Nieważne jest również i to, że ten sam los czeka kina, teatry, filharmonie i muzea. Jako instytucje nierentowne nie mają w obecnej sytuacji ekonomicznej racji bytu. Strat, jakie poniesiemy w przyszłości za taki sposób myślenia — jakby nikt nie dostrzegwał.

Dziwnie jednak wydaje się to, że nie dostrzega tego również Wydział Kultury i Sztuki UW. Jego dyrektor, Edward Balawejder, rozwiązaniem problemu BWA widzi w programie oszczędnościowym. W praktyce będą to kiepsko wydane katalogi i mało wystaw. W tym programie znalazło się również rozwiązanie długoletniego konfliktu lubelskiego środowiska artystycznego. Miało ono pretensję do dyrektury



wiele gorzkich słów pod adresem instytucji zajmujących się rewaloryzacją Starego Miasta.

Janusz Luczkowski z lubelskiej Rozgłośni Radiowej zaproponował ratowanie teatru wysiłkiem społecznym. Innego wyjścia wówczas nie było. Powstał Społeczny Komitet Odbudowy Teatru Starego. Całe przedsięwzięcie objęła swoim patronatem Rozgłośnia Polskiego Radia w Lublinie. Uznano je za temat priorytetowy w publikacjach dziennikarskich. Z tych czasów pochodzi hasło: „Razem z nami ratujecie Teatr Stary”.

Przyszłość zapowiadała się różowo. Robiono kwesty na balach sylwestrowych, w teatrach.

W ten sposób Państwo jest w posiadaniu tylko 2/3 obiektu; w 1/3 jest on nadal własnością prywatną. W stosunku do pana Jerzego rozpoczęto proces wywłaszczenia. Pan Makowski walczy jednak do końca. Nie zjawia się na rozprawach sądowych, czekając zapewne na zmiany w przepisach. I być może, doczeka się.

Od roku istnieje na zasadzie spółki z o.o. Towarzystwo Artystyczne „Panteon”. W swojej działalności odwołuje się do funkcjonującego jeszcze w 1909 roku Towarzystwa Przyjaciół Teatru Starego. Firma „Panteon” występuje obecnie jako przyszły, ewentualny użytkownik teatru. Nie będzie to na

# TEATRU

Kiedy po rocznej działalności okazało się, że zebrane przez Komitet pieniądze są kroplą w morzu potrzeb, zawieszono jego działalność.

Ta radiowa inicjatywa przyniosła jednak bardzo ważny skutek. O teatrze zaczęto mówić na ważnych zebraniach. O jego wartości, o tym, że nie tkwi ona w tym, że najstarszy, ale w smaku, jaki sobą reprezentuje. Dziwnie brzmiały te peany, bo trudno wyrobić sobie takie poglądy na podstawie dzisiejszej wizji lokalnej... Ale i to miało swoje reperkusje. Od mówienia trzeba przecież przejść do jakichś konkretnych działań. Ale te powstrzymywała nieregulowana przecież sytuacja prawna obiektu. Mocno musiał się zdenerwować dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW, Edward Balawejder, skoro udało mi się wyszarpnąć od wojewody 30 milionów z przeznaczeniem na Teatr Stary. Były już pieniądze na wykup.

## FINAL(?)

W 1988 roku grono rzeczoznawców wyceniło budynek wraz z gruntem na 25 milionów. Procent zużycia obiektu oceniono na 55 proc. Rozmowy z dwoma braćmi Makowskimi na temat wykupu przyniosły oczekiwany efekt. Bracia wyrazili ochotę pozbycia się uciążliwego kłopotu. Trochę pieniędzy bardziej się przyda niż bezużyteczna rudera. Obaj w marcu tego roku otrzymali po 9 milionów złotych.

Ale trzeci z braci — pan Jerzy Makowski — swojej części sprzedać nie

pewno „małżeństwo” z przypadku. Starania ludzi z „Panteonu” zmierzają w kierunku zachowania dawnego, oryginalnego charakteru wnętrza. Chcą widzieć obiekt takim, jakim był dawniej. Zamierzają na zasadzie impresariatu prezentować małe formy teatralne. Pragną, aby ten teatr zaczął jak najszybciej żyć.

Istnieć już może. Po podbiciu w 1988 roku fundamentów budynku widmo walących się ścian przestało wreszcie zagrażać.

Na wydatną pomoc w szybkiej rewaloryzacji tego zabytku można liczyć ze strony powstającej Fundacji Ochrony Zabytków Lublina. Przyszły prezes Fundacji, obecny sekretarz KW PZPR, Mieczysław Karczmarski, oraz przewodniczący społecznej Rady Fundacji — prezydent Edward Leńczuk dostrzegają konieczność ratowania teatru. Już teraz mówi się o tym obiekcie jako o priorytecie w działalności Fundacji. Pieniądze zapewne będą, gdyż instytucja ta ma zarabiać na sobie, sprzedając drogą licytacji mieszkania na Starym Mieście.

Może więc przepowiednie dwóch osób się nie sprawdzą. Jedną wypowiedziała pani konserwator miejska: „Pieniądze zapewne nie będzie i zabytek się zawali”. Drugą przepowiednię obwieścił „Paweł” w „Kurierze Lubelskim”, nie dając żadnych szans tej ruinie.

Violetta Krasnowska

BWA o preferowanie w swoich planach wystawienniczych artystów spoza Lublina. Natomiast zdaniem większości naszych artystów — głównym zadaniem BWA jest prezentacja sztuki lokalnej.

Teraz nadeszła wreszcie chwila, że dyrektor Mroczek nie ma wyjścia. Któż nie zgodzi się ze stwierdzeniem, że zorganizowanie wystawy artysty lubelskiego odbędzie się mniejszym kosztem, niż zapraszanie wybitnego artysty, na przykład z Gdańska. Odpadają przecież koszty transportu, diety, rachunki za hotel. Nie trzeba być jed-

się do spraw Kultury przy WRN. Teraz trzeba tylko czekać na decyzje radnych.

Biuro Wystaw Artystycznych posiada sporą kolekcję dzieł sztuki. Dyrektor planuje, jeżeli otrzyma zgodę na działalność handlową, zorganizowanie w przyszłości sprzedaży tych dzieł. Może więc będziemy mieli — jak w innych dużych ośrodkach — własne aukcje dzieł sztuki. Trudno jednak spodziewać się wielkich sukcesów i wielkich pieniędzy od razu. Mieszkańcy Lublina nie są przyzwyczajeni do traktowania dzieł sztuki nawet jako

# KONIEC BWA?

Violetta Krasnowska

nak prorokiem, by przewidzieć, że spowoduje to znaczne obniżenie poziomu galerii. Pozbawi też koneserów kontaktów ze sztuką innych, nie oszukujmy się, lepszych ośrodków. Nie mówię, że artystów w Lublinie mamy złych, nie. Ale kłótnie się we własnym jedynym sosie na dobre chyba nam wszystkim nie wyjdzie.

Zupełnie inne pomysły na dalsze istnienie tej firmy ma jej dyrektor, Andrzej Mroczek. Już rok temu wystosował do Wydziału Kultury i Sztuki UW pismo o wpisaniu do statutu BWA punktu o działalności gospodarczej. Wówczas pismo to przeszło bez echa. Pierwszego czerwca tego roku dokument (tej samej treści) został pozytywnie zaopiniowany przez Kom-

lokaty kapitału, a przy tym nasze miasto nigdy nie było dobrym rynkiem sztuki.

Dyrektor Mroczek widzi także szansę niezłego zarobku na pośrednictwie. Do BWA często zgłaszają się ludzie chcący dokonać zakupu dzieła z wystawy lub od artysty, który kiedyś takową miał. Sposobów zarabiania jest reszta więcej.

Propozycja dyrektora BWA jest nie tylko najlepszą drogą wyjścia z dolki finansowej. Pozwoli utrzymać nadal wysoki poziom galerii na miarę ambicji Andrzeja Mroczka. Ja w tym projekcie widzę szansę przyprawy świeżego powietrza w nasze lubelskie, za- tęchłe życie artystyczne.



marszałka

SPÓŁECZNY  
KOMITET  
BUDOWY  
POMNIKA

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO  
W GDAŃSKU

80-856. GDAŃSK  
ul. Profesorska 17  
DOM PARAFIALNY  
Parafia Św. Brygidy

nr konta: BANK GDAŃSKI  
116 GDAŃSK-WRZESZCZ  
301804-901046-132

## Polki i Polacy!

*To, że w roku 1989 jesteśmy czterdziestomilionowym Narodem a nie zanikającą narodowością w niemieckim czy rosyjskim państwie zawdzięczamy myśli i czynowi Józefa Piłsudskiego. Jesteśmy mu za to nieskończenie wdzięczni i wdzięczność tę powinniśmy przekazać w przyszłe dzieje, następnym pokoleniom Polaków, tak jak to zwykli czynić narody; poprzez postawienie pomnika Marszałkowi.*

*W Gdańsku pomnik ten powinien stanąć na placu im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Będzie on naszym hołdem zarówno dla Marszałka jak i wszystkich, którzy w czarnej nocy zaborów zachowali nadzieję i wolę walki o wolność Narodu. I wolność tę w latach 1918 - 1920 wywalczyli i obronili.*

*Naszym obowiązkiem wobec Narodu jest udział w budowie pomnika poprzez pracę lub wsparcie finansowe tak aby w podpisie na cokole - "Swojemu Wielkiemu Synowi - Naród" - każdy Polak mógł znaleźć swoje nazwisko.*

# KOMUNIKAT ZWIĄZKU LEGIONISTÓW POLSKICH

**W** ZWIĄZKU z licznymi zapytaniem, Komenda Naczelna — Zarząd Główny Związku Legionistów Polskich informuje, że Związek Legionistów Polskich, utworzony w Krakowie w dniu 30 maja 1918 roku, istnieje i działa nieprzerwanie od 71 lat, skupiając Legionistów-Zołnierzy J. Piłsudskiego, POW-ialków, Rodziny Legionistów i Żołnierzy Rzeczypospolitej oraz przedstawicieli piłsudczykowski środowisk niepodległościowych z całej Polski.

Głównym celem statutowym Związku — obok skupienia wymienionych środowisk — jest „praca dla dobra Rzeczypospolitej Polskiej oraz nad wyrabianiem i utrwalaniem w społeczeństwie polskim wartości moralnych i rycerskich”, kultywowanie i kontynuowanie idei niepodległościowej i państwowej J. Piłsudskiego, kultywowanie tradycji Oręża Polskiego, opieka nad Kryptą Marszałka i Kopcem J. Piłsudskiego, których Związek jest formalnym i ideowym opiekunem, opieka nad cmentarzami, grobami, miejscami i pomnikami oraz obiektami związanymi z J. Piłsudskim, Legionami i Czynem Niepodległościowym. Związek Legionistów Polskich jest też formalnym i ideowym kontynuatorem Naczelnego Komitetu Uczczenia Pamięci J. Piłsudskiego oraz Związku Peowialków.

Związek Legionistów Polskich za warunek sine qua non swej działalności przyjmuje: autentyczność, wiarygodność i niezależność. W łonie Związku — z Komendą Naczelną od września 1939 roku w Krakowie — działają statutowe okręgi i oddziały oraz komisje specjalne, m. in. Straż Mogił Żołnierzy Rzeczypospolitej, a także Muzeum Czynu Niepodległościowego, Archiwum i Biblioteka. Wydawnictwami Związku Legionistów Polskich są: „Legion”, „Żołnierz Legionów i POW”, „Ocean-

dry” oraz wydawany w latach 1984—1986 „Sowiniec”.

Związek Legionistów Polskich organizuje liczne uroczystości, wystawy, funduje tablice pamiątkowe (dotychczas osiem: w Krakowie, N. Sączu, Tarnowie, Wieliczce).

Związek Legionistów Polskich gromadzi zbiory: dokumenty, fotografie, książki, druki, odznaki i odznaczenia, mundury, części ekwipunku itp., związane z J. Piłsudskim, E. Śmigłym-Rydzem, K. Sosnkowskim, Legionistami, i z Wojskiem Polskim (wojną polsko-bolszewicką, Wrześniem 39, PSZ na Zachodzie, SZP-ZWZ-AK) — do Muzeum Czynu Niepodległościowego i Archiwum Związku.

Związek Legionistów Polskich poszukuje sztandarów, archiwów, pamiątek i materiałów, dotyczących Związku Legionistów Polskich, Związku Peowialków, Naczelnego Komitetu Uczczenia Pamięci J. Piłsudskiego, Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, losów Legionistów i Żołnierzy WP,

Wszystkich Legionistów, POW-ialków, Rodziny Legionistów i Żołnierzy Rzeczypospolitej, wszystkich Piłsudczyków — pragnących nawiązać kontakt ze swym Związkiem, serdecznie zapraszamy.

Adres korespondencyjny (listy polecone): Związek Legionistów Polskich, 30-960 Kraków 1, skr. poczt. 87, lub pod adresem: Związek Legionistów Polskich, 31-012 Kraków, ul. Reformacka 4.

Sekretarz Generalny  
Andrzej Kostrzewski  
Żołnierz ZWZ-AK  
Komendant Naczelny  
mjr Stefan Migdał  
Legionista, 1 pp Leg.

## Jesień 1939

### Zbigniew R. Muszyński

**S**KRÓT NKWD, używany powszechnie na określenie ministerstwa spraw wewnętrznych ZSRR (Narodnyj Komissariat Wnutriennych Diej), zrosł się w świadomości Polaków oraz innych narodów środkowej Europy i Związku Radzieckiego z aresztowaniami, więzieniami, przesładowaniami, zsyłkami, łagrami, morderczą pracą i śmiercią wielu milionów niewinnych ludzi. Nasilenie terroru, rozmiar i charakter represji, jakie dotknęły wiele narodów w okresie istnienia tego ministerstwa zbrodni i ludobójstwa, są wystarczającą przyczyną traktowania tej nazwy i oddziałów podległych temu organowi radzieckiej władzy, jako symbolu zbrodni czasów Stalina. [...]

Zbrodnie na polskich żołnierzach, jeńcach wojennych i ludności cywilnej, w okresie kampanii wrześniowej i przez pewien okres po jej zakończeniu, popełniali zarówno Wehrmacht (co zostało obszernie udokumentowane w wielu pracach), jak i Armia Czerwona (o czym dotychczas nie można było nawet wspominać). Później dopiero machiną zbrodni kierowało gestapo i NKWD.

#### RADZIECKA „PIĄTA KOLUMNĄ”

Na jednym i drugim froncie wkraczającym zaborcem pomagały w przejmowaniu władzy i zbrodniach „piąte kolumny”, doskonale przygotowane (szczególnie w przypadku Niemców) i uzbrojone przez najeźdźców, szykujących się od dłuższego już czasu do agresji na Polskę. Klasycznym przykładem, gdzie w jednym miejscu zadziałała zarówno zachodnia, jak i wschodnia „piąta kolumna”, jest Biłgoraj. Zniszczony 11 września pożarem, wywołanym przez grupę dywersantów niemieckich, oddany został przez milicję witaną wkraczającą Armią Czerwoną we władanie komunistycznej „piątej kolumny”, która — po dobrojeniu przez Rosjan — przejęła władzę w mieście, dokonując prawie natychmiast rekwizycji, wprowadzając rozdzielnictwo zagarniętych towarów i przygotowując się do rozprawy „z burżujami i pamieszczikami”.

Tymczasowy Komitet Rewolucyjny w Biłgoraju, stanowiący namiastkę rady miejskiej (gorsowietu) i „czerwony milicję”, o władzę liczną rodziną Knapów: Antoni, Eustachy, Robert i Zygmunt (choć formalnie funkcję pierwszego sekretarza komitetu pełnił Jan Okoniewski). W komitecie działał także Józef Tajer i 7 innych osób. W milicji znaleźli się m.in.: Józef Bordań, Adam Koneczny, Aleksander Kyc, Stefan Lens, Stanisław Majewski, Jan Paszkowski, Mikołaj Perun (Piorun?), Michał Stachurski, Jan Talanda i kilkunastu innych.

Wszyscy członkowie biłgorajskiego komitetu z rodzinami i pewna część członków milicji, również z rodzinami, wyjechali w pierwszych dniach października z wycofującą się z Lubelszczyzny Armią Czerwoną do Związku Radzieckiego. Obawiali się nie tyle wkraczających sojuszników Stalina — Niemców, ile zemsty ze strony polskiego społeczeństwa, które w obrzymiej większości oceniało zdecydowanie negatywnie postawę i działania członków komitetów, rad miejskich (gorsowietów) i wiejskich (sielsowietów).

Podobnie jak w Biłgoraju, w organizowanie władzy radzieckiej w innych miejscowościach Lubelszczyzny zaangażowało się wielu Ukraińców, Żydów i również Polaków, niekiedy (ale nie zawsze) o przekonaniach komunistycznych, wywodzących się głównie spośród biedoty wiejskiej i miejskiej. Aktywnie działające komitety lub rady (przybierały one różne nazwy) powstały m.in. w Chełmie, Białej Podlaskiej, Zamościu i kilku innych mniejszych miasteczkach, a także w niektórych wsiach. W powiecie Krasnostaw w tworzenie nowej władzy zaangażowani byli m.in. w Chłanowie: Świeraszcz (pracownik z młyna); w Gorzkowie: Mieczysław Zaborny; w Hucie Turobińskiej: Piotr Woźnica; w Izbycy: Feliks Rysak; w Krasnymstawie: Józef Kowalski (z Krupego?); w Turobinie: Biziorek, Józef Dyndur, Liberman, Stanisław Lisik, Olejko, Abram Pelc, Jan Welman; w Wierzbachowinie: Józef Małocha; w Wysokim: Ludwik Goral; w Zakrzewie: Edmund Jurecki, Wikierski; w Zółkiewce: Kobielski, Haim Libster.

W niektórych powiatach Lubelszczyzny powstawanie rad i komitetów miejskich i wiejskich prze-

biegało w sposób dość przypadkowy, niezorganizowany. W innych, np. w bialsko-podlaskim, wydane zostały drukowane zarządzenia, regulujące procedurę powoływania i skład komitetów. Tytułujący się prezesem „Zarządu Tymczasowego Miasta i powiatu Biała Podlaska” niejaki Tołkaczew, w wydrukowanym i rozplakatowanym zarządzeniu nr 2 z 27 września, ogłaszał:

„Dla prowadzenia politycznej, gospodarczej i państwowej działalności w mieście zarządzam: — we wszystkich miasteczkach i wsiach powiatu bialskiego stworzyć tymczasowe chłopie komitety z przedstawicielami fernali i chłopów malarolnych. Wybory komitetu należy przeprowadzić na ogólnym zebraniu mieszkańców w następującym składzie: przewodniczący, jego zastępca, sekretarz i od 2 do 9 członków w zależności od ilości mieszkańców. [...]”

#### „BIJ POLSKICH PANÓW!”

Niezależnie od organizowania radzieckiej władzy, wkraczająca Armia Czerwona podburzała ludność ukraińską i zachęcała ją do mordowania Polaków. W wydanej w języku ukraińskim odezwie-uloctce „do robotników i chłopów Zachodniej

Ukrainy”, którą podpisał „Głównodowodzący Frontem Ukraińskim Komandarm I rangi Semen Timoszenko”, ten sam, który w 1920 roku w konnicy Budionnego walczył pod Zamościem, czytamy (w tłumaczeniu z języka ukraińskiego): „Wyprostuj swój potężny grzbiet, podnieś swoją mocną strudzoną rękę, narodzie Zachodniej Ukrainy! Bronia, kosami, widłami, siekierami bij odwiecznych swoich wrogów — polskich panów [...]”.

Ten sam Siemion K. Timoszenko — dowódca frontu ukraińskiego — wydał pisaną po polsku odezwę-uloctkę do żołnierzy Wojska Polskiego, w której wzywał do mordowania oficerów:

„Żołnierze! Co pozostało wam? O co i z kim walczyć? Dla czego narażacie życie? Opór wasz jest bezskuteczny. Oficerowie pędzą was na bezsensowną rzeź. Oni nienawidzą was i wasze rodziny. To oni rozstrzelali waszych delegatów, których posłaliście z propozycją o poddaniu się. Nie wierzcie swoim oficerom. Oficerowie i generałowie są waszymi wrogami, chcą oni waszej śmierci. Żołnierze! Bicie oficerów i generałów!

Nie podporządkujcie się rozkazom waszych oficerów. Pędźcie ich z waszej ziemi. Przechodźcie śmiało do nas, do waszych braci do Armji Czerwonej. Tu znajdziecie uwagę i troskliwość. Pamiętajcie, że tylko Armja Czerwona wyzwoli naród polski z nieszczonej wojny i uzyskanie możności rozpocząć pokojowe życie”.

Również dowódca frontu białoruskiego, komandarm II rangi, Michaił P. Kowalow, wydał pisaną okropną polszczyzną (?) ulotkę-odezwę zaadresowaną „Rzóżnierzom Armji Polskiej!”, w której czytamy (z zachowaniem oryginalnej pisowni):

„[...] Ministrzy i generałowie schwycili nagrabione Imię złote, tchórzliwie uciekli pozostawiając armię i cały lud Polski na wolę losu. Armja Polska pocierpiała surową porażkę, od którego ona nie oprawić w stanie się. Wam, waszym żonom, dzieciom, braciom i sistram ugraża głodna śmierć i zniszczenie. W te ciężkie dni dla was potężny Związek Radziecki wyciąga wam ręce braterskiej pomocy. Nie przeciwicie się Robotniczo-Chłopskiej Armji Czerwonej. Wasze przeciwienie bez kożyści i przereczono na całą zgubę. My idziemy do wasz nie jako zdobywcy, a jako wasi bracia po klasu, jako wasi wyzwolenicy od ucisku obszarników i kapitalistów. Wielka i niezwolczona Armja Czerwona niesie na swoich sztandarach procującym braterstwo, i szczęśliwe życie. Rzóżnierzom Armji Polskiej! Nie proliwacie daremnie krwi za cudze wam interesy obszarników i kapitalistów. [...] Rzućcie broń! Przechodźcie na stronę Armji Czerwonej. Wam zabezpieczona swoboda i szczęśliwe życie.”

Ulotka ta rozpowszechniana była m.in. przez wkraczającą na północną Lubelszczyznę 4 armię, dowodzoną przez komdiwa Wasilija J. Czujkowa. Nie doszedł on, co prawda, do Lublina w 1939 roku, ale jako generał zdobywał Lublin w lipcu 1944.

Żołnierze WP nie ulegli na ogół propagandzie i dezinformacji szerzonej przez Armię Czerwoną, w wielu miejscowościach powiewającą białymi flagami i obwieszczającą, że „przychodzą bić Giermańca”. Prości polscy żołnierze wykazali wspaniałą postawę nie tylko w walce, ale i po dostaniu się do niewoli radzieckiej. Nie było przypadków denuncjacji oficerów, czego żądali przesłuchujący NKWD-ziści. Wprost odwrotnie, gdzie tylko było to możliwe, ukrywali w swoich szeregach przebranych oficerów, co niektórym ocaliło życie. Znany jest przypadek ukrycia wśród żołnierzy w obozie w Ostaszku oficera rezerwy — nauczyciela (dyrektora?) gimnazjum z Białej Podlaskiej, który dzięki postawie i pomocy żołnierzy razem z nimi został w Ostaszku przekazany w Brześciu Niemcom na przełomie listopada—grudnia 1939 roku, jako zamieszkały na lewym brzegu Bugu. Dzięki temu ocalał życie, nie podzielił losu innych oficerów-jeńców Ostaszku.

Podobnych przypadków ratowania oficerów przez żołnierzy szeregowych było wiele. Tylko dzięki takiej postawie i solidarności wszystkich zagarniętych do niewoli, udało się niektórym ofi-

# ARMIA CZERWONA

cerom uratować życie, ochronić się przed zapewnianą w ostatnim zdaniu odezwę dowódcy frontu białoruskiego „swobodą i szczęśliwym życiem” w Kozielsku, Ostaszku, Starobielsku, życiem kończonym w katyńskim i innych, nieznanymi jeszcze, podobnych laskach.

Jad nienawiści sączonej przez Armię Czerwoną zaowocował jednak wieloma mordami żołnierzy WP, dokonanymi m.in. na Lubelszczyźnie przez ludność ukraińską, samodzielnie, lub wspólnie z podżegaczami do zbrodni.

#### ZAGŁADA SZPITALA POŁOWEGO

W Grabowcu (24 km na półn. wsch. od Zamościa) na przełomie drugiej i trzeciej dekady września 1939 roku, w nie istniejącym już dziś budynku szkolnym, zorganizowano szpital polowy WP. Komendantem szpitala został kpt. dr med. Henryk Wiślicki z 9 pp Leg., stacjonującego w Zamościu. Jednym z lekarzy szpitala był ppor. rez. lek. med. Marian Fiuto, z pułku w Baranowiczach, przed mobilizacją zamieszkały w Lublinie (ul. G. Narutowicza 27).

Wokół szpitala zaczęli gromadzić się żołnierze z różnych rozbitych na Zamojszczyźnie i za Bugiem oddziałów, a oficerowie rozpoczęli formować z tych rozbitek kompanię. W niedzielę 24 września (lub dzień wcześniej — rozbieżne relacje) do Grabowca weszły, należące do grupy „Kowel”, dowodzonej przez płk. dypl. Leona W. Koca: szwadron zapasowy 27 puł. z Nieświeża, dowodzony przez rtm. Eugeniusza Cierpickiego, i improwizowany szwadron kawalerii, zorganizowany w Kowlu, dowodzony przez ppor. rez. kaw. inż. Antoniego Chorążego. Szwadrony te zanocewały w Grabowcu.

Następnego dnia rano, między 6m a 8m, do Grabowca-Góry weszły oddziały Armii Czerwonej. Miejscowi Żydzi przyjęli je chlebem i solą oraz poinformowali o znajdujących się w Grabowcu oddziałach polskich. Rosjanie rozpoczęli ostrzeliwanie Grabowca, na co kawaleria polska odpowiedziała szarżą. Ze względu na niedogodny dla ataku kawalerskiego teren (wzniesienia, rzeczka), szarża zalamana się w ogniu sowieckich kaernów. Poległ zca dcy szwadronu improwizowanego, ppor. rez. Jan Franciszek Mazur i kilku ułanów z obydwu szwadronów. Dca szwadronu zapasowego 27 puł. rtm. E. Cierpicki został ranny. Kilku rannych ułanów dostało się do niewoli. Po walce Rosjanie przeszukiwali zagrody i znalezione żołnierzy natychmiast mordowali. Między innymi ujęli kpt. Leona Ruszkowskiego, którego zastrzelili na oczach żony. Zamordowali (strzałami, bagnietami lub szabłami) również wszystkich wziętych do niewoli jeńców.

Po zajęciu Grabowca, w drzwiach szpitala wojskowego zastrzelili jego komendanta, kpt. dr. med. H. Wiślickiego, a na sali szpitalnej lekarza ppor. rez. M. Fiuto i dwu podchorążych: kpr. pchor. Henryka Katanowskiego (Katanowicz?) oraz kpr. pchor. Teodora Perczaka. Pozostałych, przeszło dwudziestu (według innych relacji — około trzy-

## LISTY - POLEMIKI

### „ARMIA CZERWONA NA LUBELSZCZYŹNIE”

W numerze 37 „Relacji” w artykule „Armia Czerwona na Lubelszczyźnie” autor Zbigniew R. Muszyński pisze, że pierwszy dowódca tajnej organizacji „Komendy Obrońców Polski” (KOP), major Bolesław Studziński, zamordo-

wany przez Niemców, spoczywa na lubelskim cmentarzu przy ul. Lipowej. Autor nie pisze jednak, kiedy został zamordowany i gdzie. Otóż prawda jest taka. Pierwszy komendant KOP zmarł w Lublinie, przebieżywszy grype, i został pochowany na cmentarzu przy ul. Lipowej pod „lewym” nazwiskiem Bogdan Nitecki i dopiero po wyzwoleniu umieszczono prawdziwe nazwisko. Byłem członkiem tej organizacji od 1.10.1939 r. jaka oficer Komendy Powiatowej KOP Lublin i o zamordowaniu komendanta Bolesława Studzińskiego nikim nie wiedział. Po szczegółowe informacje radzę się zwrócić do Antoniego Chmielnickiego, ul. Gazowa 8, Lublin.

Antoni Przybylski  
Biskupice

W uzupełnieniu dziejów walk wrześniowych 1939 roku na Lubelszczyźnie z Armią Czerwoną, które są publikowane na łamach „Relacji” (nr 38, odc. 4), pragnę podać fakty, których autor artykułu nie zamieścił z braku informacji na ten temat.

Akt kapitulacji płk. dypl. T. Zieleniewskiego miał miejsce we wsi Majdan Gończyński. Dyskusyjną sprawą jest natomiast sama data kapitulacji, jako że autorzy relacji — byli żołnierze — wymieniają dzień 30 września 1939 roku, inni zaś — 1 października. Pomimo podpisania aktu kapitulacji przez dowódcę Grupy Operacyjnej, nie wszyscy dowódcy oddziałów ją uznali i akceptowali. Do nich należeli: rtm.

Jan Ciurlik-Nowiński z 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, rtm. rez. Ludwik Bernstein i rtm. Antoni Męcarski — obaj z 7 Pułku Ułanów Lubelskich im. gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

Wszyscy trzej jako dowódcy szwadronów, wraz ze swymi żołnierzami, będąc w rejonie leśniczówki Mostki, w pobliżu wsi Momoty opuścili grupę „Chełm”, dowodzoną przez płk. dypl. Władysława Płonkę, w której skład ich szwadrony wchodziły. Dowódcy ci uznali, że rozkaz kapitulacji może wydać tylko Naczelny Wódz i postanowili walczyć dalej.

Grupa ta pomaszowała początkowo w kierunku na Kraśnik Lubelski, a następnie ku Wiśle. 2 października, będąc w rejonie wsi Wrzelowiec k. Opola Lubelskiego, wobec uzyskanych in-

dziestu rannych i chorych żołnierzy, czerwonoarmiści wyprowadzili w białynię z budynku szkoły-szpitala, rzekomo w kierunku czekających podwód. Po przejściu ul. Kozia nad rzeczką Kalinówkę wymordowano tam wszystkich strzałami i bagnetami.

Zwłoki pomordowanych nad rzeczką przewiezione zostały w nocy przez miejscowego Żyda (nazywał się Kuka) na cmentarz parafialny. Tam również mieszkańcy Grabowca-Góry przywieźli zwłoki poległych i pomordowanych po walce żołnierzy. Ze spoczywających na cmentarzu w Grabowcu 42 żołnierzy tylko pięciu (?) poległo w walce. Pozostali zostali zamordowani przez Armię Czerwoną. Na temat strat radzieckich brak informacji.

### ZBIOROWY MORD JEŃCÓW

Wspominano już wcześniej o zbiorowym mordzie jeńców, dokonanym w Husynnem (8 km płn. wsch. od Hrubieszowa) przez Armię Czerwoną, przy współudziale miejscowych Ukraińców. W oborze dworskiej zgromadzono 28 jeńców, wziętych do niewoli przez czerwonoarmistów w czasie i po boju stoczonym w Rogalinie przez resztki

# NA LUBELSZZCZYZNIE

27 pp. wchodzącego w skład armii „Kraków”, rozbitego w pierwszych dniach września w okolicy Częstochowy. Masakry jeńców bagnetami dokonano wieczorem 23 lub 24 września (rozbieżność w relacjach). W zbrodni uczestniczyli miejscowi i okoliczni Ukraińcy, którym przewodził Franciszek Taraszkiewicz, ówczesny komendant miejscowej „czerwonej milicji”.

Wśród zamordowanych było 23 szeregowych i podoficerów oraz trzech oficerów: major, kapitan i porucznik. Dca — major został wyprowadzony w białynię i prawdopodobnie utopiony w wapie poflotacyjnym koło cukrowni. Dokumenty zamordowanych zostały przez morderców zniszczone, znane jest nazwisko tylko jednej ofiary (Stefan Pyszkowski).

Uzyskanie wiarygodnych informacji o samym mordzie i okolicznościach pochowania ofiar zbrodni jest utrudnione, ponieważ większość mieszkańców Husynnego stanowili Ukraińcy. Mogili pomordowanych znajdują się do dziś obok cmentarza prawosławnego w Husynnem. Liczymy na pomoc żyjących jeszcze świadków tamtych wydarzeń przy dokumentowaniu okoliczności i przebiegu morderstwa.

### ZBRODNIENIE NA PODLASIU

W czasie walk 60 DP z Armią Czerwoną w Puchowej Górze, Jabłoni i okolicy w dniu 29 września, lub następnego dnia, w okolicy młyna (wiatrak?) w Radczu (15 km płn. od Parczewa) mordowano ludzi posądzonych o działania wroga w stosunku do Armii Czerwonej. M.in. zastrzelono tam kobietę, która ściagała płaszcze z poległych w boju czerwonoarmistów, oraz inne osoby. Nazwiska mordowanych i bliższe okoliczności wydarzeń oraz miejsce pochowania ofiar nie są dotychczas znane.

W tej samej miejscowości, prawdopodobnie w sobotę, 7 października, drogą od Rudna szło trzech nieuzbrojonych polskich żołnierzy. Jeden z nich był oficerem. Idącym towarzyszył duży pies — wilczur. Gdy wojskowi znaleźli się w okolicy wiatrak, wyskoczyło z niego kilku czerwonoarmistów, mających tam swój punkt obserwacyjny. Otoczyli zaskoczonych żołnierzy, zrewidowali, zabrali im dokumenty i rzeczy osobiste, a po chwili zastrzelili wszystkich trzech. Mieszkańcom wioski, kopającym w pobliżu ziemniaki, nakazano zakopać ciała w przydrożnym rowie. Pies zniknął. Pojawił się dopiero po paru dniach (po odejściu Armii Czerwonej za Bug) i przez dwa lata — karmiony przez mieszkańców wsi — pilnował mogiły swego pana. Późną jesienią 1941 roku został zastrzelony przez Niemców, polujących tu na zające.

Nazwiska zamordowanych w Radczu żołnierzy przez długie lata nie były znane. Dopiero po 47 latach od tych wydarzeń, niestrudzony odkrywca i opiekun żołnierskich mogił z lat drugiej wojny, pan Janusz Pomorski z Puław, przy pomocy płk. art. Ludwika Głowackiego (autora cennej pracy „Działania wojenne na Lubelszczyźnie w roku 1939”) ustalił, iż oficerem zamordowanym w Radczu przez Armię Czerwoną był kpt. art. st. st.

Stefan Eustachy Wasioki, dca 7 baterii w plockim 8 pal. Będąc kawalerem, nie miał z kim zostawić ulubionego psa i jeszcze przed wojną — co zapamiętał jego koleździ — zabierał wilczurą na ćwiczenia. Zabrał go także na wojnę. Brali razem udział w obronie twierdzy „Modlin”, a po jej upadku, zwolniony zgodnie z warunkami kapitulacji „na przepustkę”, udał się z dwoma żołnierzami i psem na południe i odtąd wszelki ślad po nim zaginął. Dzięki wiernemu zwierzęciu, którego przywiązanie do swego pana utkwiało tak mocno w pamięci mieszkańców wsi Radcze, udało się przywrócić imię zamordowanemu oficerowi, natomiast jego dwaj koleździ pozostaną chyba na zawsze nieznanymi żołnierzami.

W Milanowie, prawdopodobnie w dniu toczony tam walki z Armią Czerwoną, tj. 30 września, niedaleko kościoła, na skraju parku, obok wystawionego tam w 1933 roku krzyża, czerwonoarmiści przywiązali do brzozy nieznanego z nazwiska plutonowego kawalerii i powoli, z rozmysłem zatkuli go bagnetami. Nieznane są powody tej zbrodni, nie wiemy, o co został oskarżony zamęczony żołnierz. Wydarzenie to oglądał z daleka,

ze strychu swego domu, miejscowy organista Ignacy Bończoszek i opowiedział później o zbrodni swemu przyjacielowi Antoniemu Kwiatkowi, z którego relacji dowiedzieliśmy się o tym.

Przedstawione wydarzenia są tylko małym fragmentem rejestru zbrodni popełnionych przez Armię Czerwoną. W następnych odcinkach będziemy informacje rozszerzać, a liczymy również na pomoc ze strony osób pamiętających podobne wydarzenia w innych miejscowościach.

### DZIAŁANIA „PIĄTEJ KOLUMNY”

Po ataku radzieckim na Polskę, dokonanym w nocy i wczesnym rankiem 17 września, nastąpiło w drugiej połowie września i początkach października we wschodniej Lubelszczyźnie wyraźne nasilenie ataków Ukraińców — radzieckiej „piątej kolumny” — na małe grupy żołnierzy WP, mordowanie pojedynczych żołnierzy, a nawet „zaczepianie” dużych zgrupowań polskich.

Po przeprawie przez Bug zgrupowania wojsk KOP, dowodzonego przez gen. Orlika-Rückemanna, oddziały te, przemieszczając się 29 września ze Zberez do Stulna, ostrzelane zostały przez dobrze uzbrojoną, znaczną grupę ukraińskich dywersantów. Atak nie spowodował strat po stronie polskiej, a napastnicy zostali rozpedzeni przez jednostki KOP.

Po walce grupy gen. Rückemanna pod Wytycznem i otoczeniu części zbiorczego baonu „Polesie” przez Armię Czerwoną, liczni żołnierze usiłowali ukryć się, by uniknąć niewoli. Niektórzy usiłowaliśmy te przyptacić życiem, ginąc z rąk Ukraińców w wielu okolicznych wsiach. Znany jest przypadek zamordowania żołnierza spod Wytyczna we wsi Złobek na skraju lasów sobiborskich, gdzie uzbrojona miejscowa nauczycielka Horodecka ujęła ukrywającego się, wezwala czterech miejscowych Ukraińców, którzy zamordowali bezbronnego żołnierza w lesie za wsią. Mogiła jego znajduje się do dziś w okolicy wsi, po prawej stronie leśnej drogi, w odległości ok. 160 m od szosy do Sobiboru.

Inny uczestnik walk pod Wytycznem, ranny podporucznik, dotarł do lasów sobiborskich, gdzie leczył się kilka dni w gajówce Zberez. Zamierzał po podleczeniu przedostać się za Bug, ponieważ miał tam rodzinę. Za przewodnika zgłosił się znajomy gajowego, Ukrainiec Wasyl Sawicki ze wsi Stulno. Gdy wieczorem obydwaj opuścili gajówkę, Sawicki zastrzelił podporucznika w odległości kilkudziesięciu metrów od gajówki. Mogiła zamordowanego znajduje się tam do dzisiaj, a nazwiska jego miastety nie udało się ustalić.

### PIERWSZE WYWÓZKI NA WSCHÓD

Utarło się w powszechnym przekonaniu, że deportacje ludności z terenów Polski zajętych przez Związek Radziecki rozpoczęły się zimą 1939/1940. Tymczasem wywózki dotknęły setki, a może nawet tysiące cywilnej ludności już na prze-

łomie września-października 1939, i to z terenów, które po kilkudniowym panowaniu radzieckim znalazły się pod okupacją niemiecką. Jednym z przykładów może być wywiezienie mieszkańców Milanowa i kilku innych podlaskich miejscowości.

Po walce stoczonej przez Armię Czerwoną pod Milanowem w dniu 30 września, czerwonoarmiści szukali jakiegoś uzasadnienia swej klęski. Oskarżyli mieszkańców wsi, że ci strzelali im w plecy. Pierwszy został postawiony pod murem (dosłownie) ks. Józef Chmielewski, miejscowy proboszcz. Postawiono go pod ścianą kościoła, grożąc doraźnym sądem i wyrokiem śmierci, ponieważ słyszano podobno strzelający z wieży kościelnej karabin maszynowy. Ksiądz stanowczo zaprzeczał, informując, że kościół był zamknięty, klucze są na plebanii i nikt nie mógł dostać się na wieżę. Przeprowadzono więc dokładną rewizję kościoła, strychu i wieży oraz budynków przykościelnych. Oczywiście nic nie znaleziono.

O podobne przewinienie oskarżono również Jana Surowca, mieszkającego w budynku tzw. „szpitala” przykościelnego, ponieważ stamtąd również rzekomo słyszano strzały karabinu maszynowego. Gdy rewizja nic nie dała, nikogo i niczego nie wykryto, Surowiec pokazał im studnię na podwórzu, z której niegdyś czerpano wodę kieratem i zapadka znajdująca się na kole wydawała przy obracaniu trzask podobny do strzelania karabinu maszynowego. Oskarżenie uznano więc za pomyłkę i zatrzymanych uwolniono.

Po ustaniu walki, wieczorem, ludzie wyszli z ukrycia, pozbiierali się w gromadki i dyskutowali o wydarzeniach ostatnich godzin. Młodzi, ciekawsi od reszty, podchodzili bliżej do grup czerwonoarmistów, aby lepiej zaobserwować, jak wyglądają i co robią na jeździe. Rosjanie pochwycili wówczas kilkunastu obserwatorów, zrewidowali i wyprowadzili za wieś. W niedzielę rano, 1 października, zaprowadzono całą grupę „plennych” do Bezwoli (lub Planty). Tam wybrano czterech, oskarżono ich o przewodzenie grupie dywersyjnej, wyprowadzono na wzgórek i grożono rozstrzelaniem. Decyzję zmieniono jednak za chwilę i powiedziano im, że zostaną rozstrzelani w mieście.

Z Milanowa uprowadzono wówczas m.in. Grzegorza (Antoniego?) Daniluka, Piotra Dymickiego, Tadeusza Hordejuka, Wacława Króla, Kurianiuka (zawiadawcę stacji), Wacława Naremba, Wacława Oworusa, Józefa Smolińskiego, Mieczysława Szuciaka, Warchowieckiego (Warchowskiego?), Adama Wojtała i in. Wśród czwórki oskarżonych o przywództwo znalazł się m.in. Mieczysław Szuciak.

Całą grupę poprowadzono do Międzyrzecza Podlaskiego, gdzie rynek miasteczka był już wypełniony podobnymi „przestępcami”, schwytanymi w okolicy. Milejowiaci zmieszali się z tłumem i nikt już nie próbował odnaleźć czterech przestraszonych groźbą zastrzelenia. Rynek był otoczony czerwonoarmistami. Noc wszyscy zatrzymani spędzili pod gołym niebem, a na drugi dzień rano popędzono ich piechotą do Białej Podlaskiej. Tam załadowano wszystkich do wagonów towarowych i powieziono na wschód transportem, liczącym co najmniej kilkuset więźniów (jeńców?).

Pierwszy dłuższy postój transportu był w Stołpach. Dworzec otaczał tłum ludzi. Transport był pilnowany, ale za zegarek dany pilnującemu żołnierzowi można było uzyskać zgodę na pójście po wodę do studni. Tak zrobiło kilku, oczywiście nie wracając już od studni do transportu. Wśród nich był również jeden z mieszkańców Milanowa, Mieczysław Szuciak. Przy pomocy miejscowej ludności, trochę piechotą, pewien odcinek pociągiem, udało im się dotrzeć do Brześcia nad Bugiem. Stamtąd Szuciak wrócił do domu. Jego koleździ z Milanowa i setki innych z Podlasia wywiezieni zostali do obozu w okolicach Smoleńska, gdzie zatrudniano ich do przymusowych różnych prac, m.in. do kopania torfu. Pod koniec 1939 r., w ramach wymiany „jeńców” prowadzonej między ZSRR i Rzeszą Niemiecką, większość wywiezionych mieszkańców Podlasia (pochodzących z lewej, niemieckiej strony Bugu) przekazano Niemcom. Część z nich wróciła w rodzinne strony, a część trafiła na roboty do Niemiec. Niektórzy z wywiezionych powrócili dopiero po zajęciu Białorusi przez Niemców w 1941 roku.

(Koniec odcinka 6. — cdn.)

W następnym odcinku: nadal o działaniach Armii Czerwonej i radzieckiej „piątej kolumny”.

Zbigniew R. Muszyński

formacji od ludności cywilnej o beznadziejnej sytuacji i że dalsza walka nie ma celu — zdecydowano rozwiązać szwadrony, a całą amunicję i uzbrojenie zatopić w pobliskich stawach.

Poza tym inni oficerowie zdecydowali się też naruszyć dyscyplinę wojskową, a tym samym, ratując swe życie, służyć Ojczyźnie w innych warunkach. Do nich należeli: ppor. Mieczysław Janikowski, ppor. Wacław Zdyb z 22 Pułku Ułanów Podkarpackich, którym udało się dotrzeć do granicy węgierskiej.

W grupie „Chelm” znajdowała się również i część Ośrodka Zapasowego Wielkopolskiej Brygady Kawalerii z Krępnika Lubelskiego. Dwaj dowódcy szwadronów marszowych, tj. rtm. Michał Kwaliaszwilli z 15 Pułku Ułanów Poznańskich i rtm. Witallis Ugechelidze

z 17 Pułku Ułanów Wielkopolskich im. Króla Bolesława Chrobrego, odbili się po kapitulacji od reszty i poddali się na drugi dzień Niemcom, pozostali oficerowie i podchorążowie, jak: rtm. rez. Jerzy Dzwonkowski (15 p.u.), rtm. Aleksander Sitek (7 psk), rtm. Józef Najmert (3 p.u.) oraz oficerowie młodsi wraz z podchorążymi podzielili los towarzyszy broni z grupy płk. Płonki.

Zaznaczyć należy, że rotmistrzowie: Kwaliaszwilli i Ugechelidze byli w Wojsku Polskim oficerami kontraktowymi, toteż jako Gruzini zostali zwolnieni wkrótce z niewoli niemieckiej i brali później czynny udział w szeregach Armii Krajowej.

Większość Grupy poddała się jednak Armii Czerwonej, zaufawszy obietnicy, że warunki kapitulacji zostaną dotrzymane. Według umowy zawartej pomię-

dzy dowódcą wojsk polskich a dowódcą wojsk Armii Czerwonej, po złożeniu broni podoficerowie i szeregowi mieli zostać natychmiast zwolnieni do domów. Oficerowie również zwolnieni po rejestracji w centralnym mieście. Nadto wszyscy mieli mieć prawo wolnego wyjazdu za granicę.

We wsi Bulkwa 2 października 1939 roku grupa „Chelm” złożyła broń. Stąd oddziały grupy płk. Płonki pomaszerowały konno, pod eskortą, na Bilgoraj, Aleksandrów, Józefów, do rejonu Tomaszowa Lubelskiego. 4 października we wsi Lubycza Królewska odebrano konie oraz oddzielono oficerów od szeregowych.

Oficerów wywieziono natychmiast przez Lwów do obozu przejściowego we Frydychówce, a potem przez Sze-

pietówkę do obozów w Starobielsku i Kozielsku.

Szeregowi grupy zatrzymanej zostali 4 października w Lubyczy Królewskiej, następnego dnia załadowani na samochody ciężarowe i przewiezieni przez Rawę Ruską i Żółkiew do Lwowa. Po przenicowaniu w jednym z lwowskich koszar załadowani zostali 6 października do wagonów towarowych i przewiezieni do Złoczowa. W ciągu 7 października podobno zwolniono część szeregowych, urodzonych na wschód od Bugu i Samu, większość wywieziono przez Podwoleczyska w głąb ZSRR. Z grupy tej w połowie listopada odesłano część szeregowych, którzy podali się jako pochodzący z zaboru niemieckiego. Żołnierzy tych przekazano władzom niemieckim w Przemyślu.

Jerzy S. Wojciechowski — Lublin

## Losy polskie

**G**DYBY przyszło wymienić kilka najważniejszych dat z ponad tysiącletnich dziejów państwowości polskiej, bez wahania podałbym datę: 28 IX 1939 r. Dlaczego? Oto trzy fakty uzasadniające ten wybór.

**PIERWSZY.** O godz. trzynastej na terenie fabryki „Skoda” na Rakowcu gen. Tadeusz Kutrzeba w imieniu dowódcy armii „Warszawa”, i dowódcą 8 armii Wehrmachtu gen. Johannes Blaskowitz — podpisują umowę kapitulacyjną. Ewakuacja kolumn wojska — uzgodniono uwolnienie do domu wszystkich szeregowców, do niewoli idą tylko oficerowie — ma nastąpić od godz. dwunastej 30 września. „Kurier Warszawski” tego dnia (28 IX) w artykule „Odbudujemy jeszcze stolicę” pisze:

„Piękna Warszawa nie istnieje już, nie istnieje też Warszawa historyczna, nie istnieje nasza, którą znamy, ale istnieje Warszawa bohaterska, Warszawa, której historia będzie zapisana wśród najbardziej bohaterskich obron miast świata. Warszawa, która spełniła swój obowiązek wobec Ojczyzny po żołniersku i do ostatniej chwili. Wierzymy mocno, że sprawiedliwość dziejowa musi zapanować, że Warszawa znów będzie wkrótce stolicą wielkiej i potężnej Polski.

Warszawę odbudujemy wówczas większą i wspólniejszą, niż była. Ofiara nasza na ołtarzu Ojczyzny była bardzo wielka, ale też na pewno da wielkie rezultaty.

Nie trać nadziei Warszawo, nawet gdybyś musiała jeszcze przeżyć dni bardzo ciężkie i bardzo bolesne”.

Jest ten tekst przykładem niewiarygodnego optymizmu w momencie niezwykle trudnym, w którym tak bardzo potrzebna była choć iskra nadziei! Ta nadzieja była jeszcze w załączku i głębokiej konspiracji, bowiem od paru godzin istniało sprzyśnięcie wojskowo-polityczne, które w kilka dni później zostanie nazwane „Służba Zwycięstwu Polski”. A więc początek walki w nowej formie — zachowanie jednak ciągłości i tradycji oręża oraz stołecznej roli Warszawy, także w tej walce. Czyż nie są to ważne fakty?

**DRUGIE** z wydarzeń motywujących wybór to moskiewskie rozmowy Joachima von Ribbentropa, wynikające z potrzeby skorygowania — uzgodnionej w układzie sierpniowym — linii podziału stref interesów w tej części kontynentu europejskiego, a zwłaszcza na ziemiach polskich, gdzie co prawda podbój został dokonany, ale walki trwały nadal.

Rozmowy toczyły się jakby w dwóch płaszczyznach:

— uzgodnień co do nowych podziałów terytorialnych i określenia w przybliżeniu ich granicy (stad wykreślenie „linii demarkacyjnej” na mapie przez Stalina i Ribbentropa oraz jej datacja „28 IX 1939”), a tym samym granic interesów obu mocarstw;

— podobnych uzgodnień stanowiska co do losów państwa polskiego.

Pominę w tym miejscu kwestię pierwszą, ze względu na nie tak dawną publikację na ten temat („Granica na ośmiu rzekach”; „Relacje” nr 33, z 31 VIII — 6 IX), a zwrócić uwagę na treść i znaczenie pozatraktatowego dokumentu, powstałego w czasie tych rozmów, nazwanego „deklaracją przyjaźni” (Friedenserklärung). Oto ustalenia podpisane przez Ribbentropa („za rząd Rze-

szy Niemieckiej”) i Mołotowa („z nieograniczonego pełnomocnictwa rządu ZSRR”):

„Rząd Rzeszy Niemieckiej i Rząd ZSRR, podpisując dzisiejszy układ, uregulowały kwestie powstałe w następstwie rozkładu państwa polskiego, tworząc tym samym mocny fundament długotrwałego pokoju w Europie. Wyrażają one wspólny pogląd, że zakończenie obecnej wojny między Niemcami z jednej strony zaś Anglią i Francją z drugiej, odpowiadałoby interesom wszystkich narodów. Stąd też oba rządy — w razie potrzeby w porozumieniu z innymi zaprzyjaźnionymi państwami — skierują swoje wspólne wysiłki, by możliwie szybko osiągnąć ten cel. Gdyby jednak te wysiłki obu rządów nie przyniosły powodzenia, wówczas stanie się oczywiste, że za kontynuację wojny odpowiedzialność ponoszą Anglia i Francja. W przypadku dalszego trwania wojny rządy Niemiec i ZSRR będą się wzięciem konsultować o koniecznych do podjęcia krokach. Moskwa, 28 września 1939 r.”

Gwoli ścisłości, ten dokument, jak i inne w tym dniu uzgodnione, podpisany został o godz. piątej

postawił profaszystowski zamachowiec z „Żelaznej Gwardii”, zabijając na dworcu kolejowym premiera Armandu Călinescu (ręcznika neutralności) na znak protestu, że jednak Polaków przyjęto.

Dwóch innych ambasadorów, tym razem Francji — Noël (z Warszawy) i Thierry (Bukareszt) czyniło podobnie zgodne wysiłki, by rząd polski pozostał w Rumunii. Poparcie dla tej akcji dawałi ambasadorowie brytyjscy: Kennard (z Warszawy) i Hoare (bardzo aktywny, Bukareszt) oraz obojętnością swoją, byli przeciw neutralni, Amerykanie: Drexel-Biddle (z Warszawy, od razu „asystował” gen. Sikorskiemu w Bukareszcie, podobnie jak cień Generała, czyli Noël...) i Gunther (Bukareszt), zaś chargé d'affaires P. A. Kukolew nie umiał przerażonym tłumunom wyjaśnić celu koncentracji 13 armii Frontu Ukraińskiego nad samą ich granicą, armii tego samego frontu, z którego 5, 6 i 12 armie od świtu 17 IX wdarły się w granice Rzeczypospolitej.

Nie wymieniam tu różnych zdań w historiografii, szczególnie polskiej, na temat polskiego udziału w tej akcji „unieruchomienia” rządu, bowiem

# RZĄD RZECZYPOSPOLITEJ

## Mieczysław Wieliczko

dnia następnego, ale obydwaj sygnatariusze ustalili jego antydatowanie.

TRZECI z faktów miał miejsce w Paryżu, gdzie świeżo przybyły z kraju przez Rumunię gen. Władysław Sikorski został powołany na stanowisko „Dowódcy Wojska Polskiego we Francji”. Dokonała tego powstała trzy dni wcześniej Rada Ambasadorów RP w osobach: Juliusz Łukasiewicz (Paryż), gen. Bolesław Wieniawa-Dłogoszewski (Rzym) i Edward Raczyński (Londyn). Rada została utworzona za wiedzą Prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego na skutek unieruchomienia (ubezwłasnowolnienia, deportowania, a następnie internowania) już 18 września po południu, czyli w niespełna 24 godziny po przekroczeniu granicy, naczelnymi władz państwa polskiego.

Rano tego dnia płk J. Beck stanowczo odmówił władzom Rumunii podpisania oświadczenia, że z chwilą przekroczenia granicy państwa — prezydent, rząd i marszałkowie sejmów oraz senatu zrzekają się wszyscy swych atrybutów konstytucyjnych, politycznych oraz administracyjnych. Wobec tej odmowy, zaproponowano wyjazd z nadgranicznych Czerniowiec i stało się to, co się stało: pociąg po drodze rozłączono, a gdy się powrótnie zatrzymał, na władze Rzeczypospolitej oczekiwali już asystenckie kordony żandarmerii i druty kolczaste...! Na południu, w pobliżu granicy bułgarskiej znalazł się w Craiovej marsz. Rydz-Śmigły, w Białym (na wschodzie Karpat Mołdawskich) prezydent Mościcki, zaś rząd na drugim krańcu tego masywu górskiego, w Słanic, dokąd go dowieziono samochodami i stosownie „zabezpieczono” w odległej okolicy...

Rękę do tego przyłożyli przede wszystkim oby i to, po kolei, wszyscy: ambasador niemiecki Fabricius, który dwoił się troił już od 11 września, by Rumunia albo nie przyjęła rządu polskiego, albo go internowała. Miał do pomocy przywódcę mniejszości niemieckiej w tym kraju o bardzo podobnym nazwisku — Fabricius, tak że niewielu odróżniało jednego od drugiego, a kropkę na „i”

to temat zbyt rozległy i od zawsze... wysoce polemiczny. Jedno jest pewne — wielu zależało naraz na tym, by Rząd RP uwięzić, i każdy z wymienionych miał inne motywacje i powody, by tak postępować, jak postępowal, a dokumentów — dowodów tej hańby jest dużo.

**PODSUMUJMY** te trzy fakty z 28 IX 1939 r. Warszawa-stolica kapituluje, ale na warunkach honorowych i nadal pozostaje stolicą, już z organizacją konspiracyjną; w Moskwie zapadają decyzje likwidatorskie państwa i podzielone jest bez reszty jego terytorium, na którym jednak nadal biją się jeszcze przez 8 dni regularne jednostki wojska polskiego i walki te przejdą w fazę powrześniowej partyzantki po obu stronach „linii demarkacyjnej” na Pisie — Narwi — Bugu i Sanie; w Paryżu funkcjonuje organ zwierzchni państwa polskiego, działający w kierunku uregulowania sprawy istnienia władz państwowych poza granicami Polski, jest też nowy (od 9 XI 1939 r. Wódz Naczelny) dowódca i formuje się wojsko polskie.

Dwa dni później Władysław Raczkiewicz składa przysięgę jako nowy Prezydent Rzeczypospolitej i powołuje, nie bez trudności, premiera w osobie gen. Władysława Sikorskiego, który kumuluje ogromny zakres władzy... Obok wymienionych dwu stanowisk, jeszcze obejmuje trzy teki ministerialne: spraw wojskowych, spraw wewnętrznych oraz sprawiedliwości. Potrwa to krótko, ale 30 IX tak to jest.

Powstaje pełnoprawny Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na Obczyźnie, który jest „kompromisem Frontu Morges z mniej skompromitowanymi pilsudczykami”, napisze znawca problemu, prof. Eugeniusz Dureczyński, zaś mnie tę konstatację przychodzi uzupełnić stwierdzeniem, że rząd ten w oparciu o Konstytucję RP z 1935 r. tworzą partie polityczne (PPS, SL, SN i SP oraz politycy owego Frontu), które pozostawały w opozycji do sanacji, jako „siły sprawczej” (bo rządzące

## „Kto nie z nami, ten przeciw nam”

**L**ATEM 1944 r., dowództwo Armii Krajowej i władze wojskowe w Londynie konsekwentnie wkluczały zbrojny opór przeciwko Armii Czerwonej. Część kierownictwa lubelskiej Delegatury szukała wręcz kompromisu z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. Pisałem o tym szerzej w „Relacjach” nr 4 i 5.

Uczestnicząc w lipcowych rozmowach Komendy Okręgu AK i Delegatury z dowódcą 69 armii, gen. płk. W. Kółpakcinem, Jan Manugiewicz — pełnomocnik KRN na tereny wyzwolone, a następnie tymczasowy przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie — tak charakteryzuje rozmówców ze strony AK:

„[...] to byli dwaj starsi panowie wyglądający niepozornie, a nawet trochę śmiesznie, w tych swoich pumphach, bo to moda dość spóźniona [...]. Widziałem ich, słuchałem, obserwowałem każdy gest, każde skrzywienie mimiczne tych ludzi i wiedziałem, że nie zagrażają nam, że nie będą stawiali na stawkę jakiejś szaleńczej roboty sabotażowej w armii. [...] Chciałem się do tej rozmowy AK-owców z Kółpakcinem włączyć, ale Świerczewski zatrzymał mnie tak jakoś ręką, mówiąc: towarzyszu Zołna [pseudonim konspiracyjny Manugiewicza — przyp. J. W.], co my, oni mają swój określony pogląd na sprawy, co będziecie się wtrącać. Zatrzymałem się więc z wypowiedzią, dzisiaj jednak żałuję [...].

Uważałem, że nie było żadnej potrzeby likwidowania wszystkich elementów firmy AK. [...] Przecież chodzi tu o te olbrzymie masy patriotyczne, inteligentne, która nie była komunistyczna i nie wierzyła w rewolucję, a wiemy dzisiaj, jak wiele postaw się na to składało, żeby nie wierzyć w powagę partii. Tych ludzi należało od początku jakoś uszanować, to był zdecydowany błąd polityczny”.

Tezę o prowokacji, którą zastosowano, by znaleźć pretekst do ostatecznego rozprawienia się z AK, podnosiła już historycy emigracyjni. Nie odrzuca jej także K. Kersten. Potwierdza ją również cytowany już J. Manugiewicz:

„W tym to czasie miał miejsce pierwszy w wielkim stylu akt prowokacji w stosunku do naszych władz, tj. mord załogi samochodu milicyjnego, która jechała na jakąś akcję na Podlasie. [...] Nie publikowano w tej sprawie żadnych materiałów. [...] Mord dokonany na milicji spełnił swoje zadanie. Przypuszczam, że pewnym kolom zależało na tym, żeby sprowokować represje. Podsycono coraz bardziej falę wzbурzenia. [...] Odkrywa się jedno z posiedzeń PKWN-u, jedno z tych, na których byłem. Okna sali, w której odbywały się posiedzenia PKWN-u w budynku przy ulicy Spokojnej, wychodziły na dziedziniec. Na tym dziedzińcu zawsze był ruch, bo był tam nasz park samochodowy, wartownia

straży. W pewnym momencie usłyszeliśmy strzały i to dość rzęsiste, jakby był napad czy jakaś bitwa. Dwu ludzi nie wytrzymało nerwowo. My siedzimy, każdy z nas myślał, że to najcięższe jakieś, ale zachowujemy zimną krew i nawet ktoś tam dalej przemawia. Dwaj ludzie tylko niepokoją się bardzo — to Sommerstein i jeszcze ktoś, kto tej panice może nie powinien ulegać — Minister Bezpieczeństwa Publicznego [Stanisław Radkiewicz — przyp. J. W.], który w tym momencie przerywa mówcy i zaczyna mówić atakując PKWN — że jeżeli sytuacja będzie tak wyglądała, jeżeli to, jeżeli tamto, to musimy... — nawiązując do tej strzelaniny. Nie podchodzi do okna, nie sprawdza, w czym jest rzecz, a za chwilę strzelanina ustaje i obrady toczą się dalej. Akcent jednak pozostał i niekoniecznie dobrze podziałał”.

Tymczasem, według J. Manugiewicza, całe wydarzenie miało charakter incydentalny. Najprawdopodobniej „straż się zabawiła, bo element tam był bardzo różny, lub doszło do jakiejś bójki, albo po pijanemu ktoś strzelił, zaalarmowano straż, no i zrobiło się zamieszanie i strzelanina”.

W dniach od 28 września do 3 października 1944 r., w Moskwie przebywała delegacja PKWN i KRN. Podczas wizyty — której przebieg znamy z obszerniej relacji, jaką przedstawiono na posiedzeniu Biura Politycznego KC

PPR 9 października 1944 r. — zapadły decyzje o totalnej rozprawie z Armią Krajową, uznaną za głównego wroga i konkurenta politycznego PKWN.

AK, wywierająca olbrzymi wpływ na oblicze społeczeństwa polskiego w okresie okupacji, jako wielusettyśięczna organizacja złożona z ludzi reprezentujących wszystkie warstwy społeczne i sięgająca swymi wpływami w każdy zakątek kraju, kształtująca po-

# ZWROT

## Janusz Wrona

stawy i przekonania Polaków — miała być unicestwiona. Równocześnie politycy i propagandziści PKWN pracowali nad „czarną legendą” AK, mającą na długie lata dezawuować wartość rzeczywistych dokonań tej formacji. Jej wyrazem była między innymi teza o AK jako formacji, która stała podczas okupacji z bronią u nogi.

Wizytę delegacji PKWN i KRN w Moskwie Józef Stalin potraktował jako okazję do dokładnego poinformowania Polaków, jakie mają przyjąć założenia w swej polityce wewnętrznej i jak je mają realizować. Uczynił to zarówno podczas oficjalnego spotkania z delegacją PKWN, jak i podczas spotkania z najbardziej wówczas zaufany-

dyktatorsko i autorytatywnie) tej konstytucji, oraz w opozycji do ducha i litery konstytucji nazywanej kwietniową...

I to jest jeden z polskich dziejowych paradoksów, dramatów i wiecznych „wyborów”, bowiem ta odrzucona powszechnie konstytucja pozwoliła ocalić legitymizm władz państwowych, pozwoliła na swój sposób ocalić ideę państwa i stała się źródłem prawa dla państwa „bez terytorium” na Obczyźnie i państwa podziemnego w Kraju, za wojowanymi, podzielonymi, okupowanymi, zniewolonymi.

30 IX 1939 r., kiedy w Warszawie o godz. dwunastej, rozpoczęło się wykonywanie umowy kapitulacyjnej, w Paryżu o tej porze ambasada RP spełniała funkcję stolicy państwa polskiego, goszcząc jego najwyższe władze w osobach prezydenta, premiera i rządu.

Wiadomość o tym fakcie podały wszystkie agencje światowe, opatrując go różnymi komentarzami, wśród których odnaleźć można uznanie, entuzjazm i podziw dla Polski i Polaków, chłodną obojętność, połączoną z niedowierzaniem, oraz nienawistną niechęć i wrogość.



Ambasador Juliusz Łukasiewicz i prezydent Władysław Raczkiewicz w ambasadzie polskiej w Paryżu (1 X 1939)  
Repr. Waldemar Stępień

## NA OBCZYŻNIE

ZAJMIEMY SIĘ TYLKO TĄ OSTATNIĄ KWESTIĄ. Oczywiście chodzi o Berlin i tylko o Berlin. Faktu powstania rządu polskiego niepodobna było pominąć i trzeba go było jakoś nazwać. Powstał więc najpierw termin „Scheinregierung”, co można przetłumaczyć jako „rząd marionetkowy”, zaś prof. H. Batowski objaśnia ten termin jako „pseudorząd”; w drugiej połowie października 1939 r. zaczęto w korespondencji dyplomatycznej stosować zwrot: „der polnischen „Regierung” in Paris”, czyli zamykano cudzym słowem określenie „rząd”. Można i tak...

Już na drugi dzień po wiadomości z Paryża, 1 X Fabricius w Bukareszcie zapragnął poznać stanowisko rumuńskie, ale Gafencu (minister spraw zagranicznych) wykreślił się brakiem wiarygodnych informacji z Paryża, na skutek wymiany tam ambasadora. Fabricius jednak nalegał: skoro ustąpiła władza, która mianowała tu swojego ambasadora, winien on utracić akredytację...

Skracając wywód, wypada podać, że sojuszniczka wobec Niemiec Rumunia dopiero w listopadzie 1940 r., uznała obecność ambasadora R. Raczyńskiego za kłopotliwą, a zgodziła się, by interesy państwowe Polski reprezentowało Poselstwo Republiki Chile.

Tym samym śladem poszedł Ermannsdorf w Budapeszcie. Węgry odrzekł, że Węgry nie odpowiedzą na notyfikację rządu polskiego (czyli oficjalną notą informującą o jego powstaniu, siedzibie, służbach dyplomatycznych), ale... L. Orłowski opuścił Budapeszt 20 I 1941 r., a działalność Poselstwa zastąpili uznani tu już przez władze węgierskie Delegaci Rządu RP na Węgry, zaś Instytut Polski jako agenda rządowa działał tu do 19 III 1944 r., do czasu niemieckiego najazdu na Węgry.

Po tych dwóch sondażach u najbliższych sojuszników, poirytowany Ribbentrop polecił 3 X

swemu zastępcy Weizsäckerowi, by rozesłał telegramem do wszystkich przedstawicielstw dyplomatycznych Rzeszy taką instrukcję: „Pilnie! Utworzony teraz poza Polską nowy »rząd« polski nie posiada znaczenia ani faktycznego, ani prawnego. Rząd ten dla nas nie istnieje. Rząd węgierski zastosował się do tego w ten sposób, że nie odpowiedział na notyfikację. Proszę w rozmowach przedstawić ten nasz punkt widzenia. Pozostawia się do uznania szefów przedstawicielstw, w jakiej formie przedłożą oni to stanowisko rządów, przy których są akredytowani. Jednakowoż w chwili obecnej nie jest wskazane wysuwanie w tej sprawie oficjalnych żądań, gdyby miało to prowadzić do ich odrzucenia”.

Jest to zdumiewający dokument: oto Rzesza, zwycięski agresor, informuje 44 rządy ówczesnego świata, że państwo przez nią napadnięte i za wojowane utworzyło swój rząd! On wprawdzie dla tej Rzeszy nie istnieje, ale ta Rzesza pragnie poznać stanowisko owych 44 rządów, z którymi ma stosunki dyplomatyczne. Czyny to jednak bardzo ostrożnie, i... uzyskuje wynik podobnie zdumiewający! 2 X sekretarz stanu C. Hull imieniem rządu USA złożył oświadczenie, gdzie czytamy: „Sama okupacja terytorium nie powoduje prawdziwego upadku państwa. Stanowi ona jedynie przeszkodę dla jego normalnego funkcjonowania. Rząd polski istnieje, stosownie do konstytucji Polski”. W Rio de Janeiro wspomnianą powyżej polską notyfikację po prośbie 4 X ogłoszono w... prasie, o czym doniósł przełożony niemiecki ambasador. Inny 9 X raportował z Lizbony: „[...] nowy rząd polski jest legalnym następcą poprzedniego, albowiem polski prezydent zgodnie z konstytucją przekazał swoje uprawnienia, gdy parlament nie mógł funkcjonować. Gdy jakiś rząd w wyniku wypadków wojennych faktycznie swoich obowiązków pełnić nie może, nie wpływa to w niczym na fakt jego istnienia” — głosiło oświadczenie rządu Portugalii.

Aby uporządkować obieg informacji w tej kwestii, 23 X wysłano z Berlina do wszystkich niemieckich placówek dyplomatycznych, za wyjątkiem Moskwy, informację o wynikach sondażu sprzed trzech tygodni. Okazało się, że ponad połowa niemieckich placówek nie uzyskała jakichkolwiek opinii o stanowiskach rządów, przy których były akredytowane, a z 19 stolic, z których informację nadesłano, za wyjątkiem Estonii i Litwy, które przestały utrzymywać stosunki dyplomatyczne z Polską, wszystkie inne państwa albo zbyły notę niemiecką milczeniem, albo niemieccy przedstawiciele dyplomatycznie nie usiłowali uzyskać ich opinii, wiedząc, że będzie dla Rzeszy negatywna. A więc propolska.

Podobną akcją dyplomatyczną ponawiano jeszcze z Berlina kilka razy w czasie wojny i sądzić można, że jej wyniki były coraz gorsze, bowiem w maju 1945 r. Rząd RP na Obczyźnie posiadał swoje przedstawicielstwa w 38 państwach. To stanowiło między innymi o jego pozycji międzynarodowej.

Utworzył ten rząd gen. Władysław Sikorski, do którego 2 X 1939 r. pisał sędziwy Ignacy Jan Paderewski te słowa: „Pan, Panie Generale, jest nie tylko wodzem naszych sił zbrojnych, ale i całego narodu — Wodzem Narodu. [...] Chcemy, by wszyscy Ci, którzy Pana otaczają, byli Pańskimi podkomendnymi, wykonawcami lojalnymi Pańskich rozkazów, za które Pan jeden, wobec narodu i historii ponosi całkowitą odpowiedzialność”.

Można zakończyć stwierdzeniem, że i Naród, i Historia nie tylko w oczach tego Wielkiego Polaka uznały Generała — Wodzem Narodu, od 28 września 1939 r., począwszy — gdy kapitulowała stolica, a Polska wykreślona została z rejestru państw, po raz czwarty w swoich dziejach.

Mieczysław Wieliczko

mi członkami władz, tj. — jak relacjonował B. Bierut — „na wąskiej konferencji, zwołanej z inicjatywy tow. Stalina, w której brali udział tow. Bierut, Rola [Zymierski — J. W.], Wanda [Wasilewska — J. W.] i Morawski [Edward Osóbka — J. W.]”.

Stalin — wg Bieruta — rozwiązał obawy dotyczące efektywnego wpływu państw zachodnich na sprawę polską: „Rozpadnięcie się sojuszu na tle sprawy polskiej nie grozi. Na wysunięte

żądania „nie należy odpowiadać, tylko trzeba narodu”. Ostrzegając przy tym, że siła PKWN wynika dotychczas jedynie z sily Armii Czerwonej, i że najwyższy czas to zmienić: „Jeśli Partia nie wykorzysta obecnego okresu, jeśli nie weźmie władzy w ręce — to Partia nie będzie istnieć. Jedyną drogą jest wziąć odpowiedzialność na siebie. Nie liczyć się z niczym”. Za konkluzję można uznać powtórzone przez Bieruta słowa Józefa Wissarionowicza: „Taka miękkość, podchodze-

Zaostrzony ton propagandy pepercowskiej względem Armii Krajowej pojawił się już w końcu września, gdy klęska powstania warszawskiego była nieuchronna. Po kapitulacji Warszawy nowy szef Zarządu Politycznego I Armii Wojska Polskiego, major Piotr Jaroszewicz, rozesłał „Wytężone propagandowe”, w których pisało: „Kierownictwo organizacji AK całkowicie opanowała reżyma. [...] Wśród byłych żołnierzy AK znajdują się a-

resortu Bezpieczeństwa Publicznego uznał za zbyt liberalną dotychczasową politykę władz względem AK i BCH. W stosunku do tej drugiej organizacji zakładano, „że polityka nasza musi być ogólna, bowiem BCH przeżywa proces wewnętrznych wahań politycznych. Zamierzaliśmy tę część pociągnąć za sobą. To stanowisko musi ulec zmianie”.

Określając konkretne pociągnięcia wyniku ze zmiany kursu politycznego, Radkiewicz stwierdził: „Dotychczasowe środki represyjne, stosowane przez nas, były przypadkowe. [...] Obecnie rozpoczyna się nowy okres naszej pracy. Przystąpiliśmy do całego szeregu prac planowych, z góry przygotowanych”. Kończąc swoje wystąpienie, Radkiewicz podkreślił: „Chciałbym, żebyśmy wszyscy zrozumieli, że w kraju wytworzył się podział, że z jednej strony mamy PKWN występujący za zmianą stosunków społeczno-gospodarczych, z drugiej strony wszystko co obce idzie pod ziemię i walczy bezwzględnie”.

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że przedstawiona przez komunistycznego działacza uproszczona, wręcz zwulgaryzowana ocena ówczesnej rzeczywistości polskiej zakładała dychotomiczny podział Polaków na dobrych (z PKWN) i złych (pozostałych). Służyla ona w październiku 1944 r., do zrealizowania przyjętej do realizacji koncepcji: „Kto nie z nami, ten przeciw nam”.

(Koniec odcinka 2. — c.d.n.)

# PAŹDZIERNIKOWY 1944

przez delegację obawy w związku z przemówieniem Churchilla, tow. Stalin powiedział, że zajmować się planiną parlamentarną nie przystoi poważnym politykom”. Odnosząc się bezpośrednio do zagadnień wewnętrznych Polski, przywódca ZSRR zalecił zastosować nowe metody realizacji reformy rolnej, którą określił mianem rewolucji: „Rewolucja taka musi być przeprowadzona metodami rewolucyjnymi. U nas tow. Stalin nie widział tych metod rewolucyjnych i krytykował nas za to”. W konsekwencji nakazał usunąć z PKWN szefa resortu Rolnictwa i Reform Rolnych, Andrzeja Witosa.

Generalnie Stalin zarzucił PKWN „miękkość i rozlazłość”, „brak patriotyzmu i właściwego stosunku do po-

nie w rękawiczkach do wroga, który nas zwalcza, dyskredytuje nas jako rewolucjonistów. Tow. Stalin zwracał uwagę na konieczność zmiany: »pie-restroitsz ili ustupit«”.

Groźba J. Stalina potraktowana została niezwykle poważnie. Na tym samym posiedzeniu Biura Politycznego, na którym omawiano moskiewską wizytę, Władysław Gomułka, sekretarz generalny PPR, stwierdził: „Przed nami stoi zagadnienie odpowiedzi państwa na terror. Jest najwyższy czas, by przejść do kontrataku. [...] Nie osiągniemy swych celów, jeśli na odcinku walki z reakcją aparat państwowy nie przejdzie do zdecydowanych form”. Leon Kasman dodawał: „Terror skupiłby wielu ludzi wokół nas, brak terroru rozzuchwała AK”.

genci wroga. Należy ich czujnie wylawiać i unieszkodliwiać. [...] Trzeba zbadać ich poglądy i nastroje i skrupulatnie wyjaśniać wątpliwości, wśród których najczęściej występują: uprzedzenia do Związku Radzieckiego, niezrozumienie zatrzymania się ofensywy Armii Czerwonej na Wiśle, niedowierzanie w stosunku do oficerów Armii Czerwonej, traktowanie komunistów jako ludzi obcych polskiej racji stanu”.

Oficjalnym heroldem nowego kursu politycznego w Polsce, realizowanego przez PKWN, był Stanisław Radkiewicz, który na posiedzeniu Komitetu 4 października 1944 r., — w obecności B. Bieruta — dokonał oceny sytuacji politycznej i wskazał na stojące przed nową władzą zadania. Szef

**ZACZAŁ** się już pierwszego dnia miesiąca koncertem muzyki polskiej, wykonaniem op 11 Fr. Chopina i „Kościeleca 1909” W. Kilara. Grają lubelscy filharmonicy pod dykcją Adama Natanka. Jako solistka wystąpiła znana, utalentowana pianistka (lublinianka!) Elżbieta Karaś-Kraszta. 50 rocznicę wybuchu II wojny światowej obchodzono w tym roku w sposób szczególny. Stała się ona nie tylko bolesnym memento, ale także symbolicznym aktem solidarności świata w działaniu na rzecz odbudowy ludzkich wartości, uczuć miłości, przyjaźni, przebaczenia. Filharmonia lubelska dołożyła swoją skromną cegiełkę.

Właściwie muzyczny wrzesień należał głównie do młodych artystów, „nanna-czynnych” wprawdzie sukcesami konkursowymi, ale przecież wciąż jeszcze mało znanych szerzej publiczności. Współorganizatorem koncertów było Krajowe Biuro Koncertowe i, jak się okazało, był to dobry pomysł.

8 września koncertowały trzy sympatyczne panie: śpiewaczka — Katarzyna Suska, laureatka konkursu w Nowym Sączu (im. legendarnej Ady Sari), finalistka Konkursu Pavarottiego w USA, stypendystka „Fonds Alex de Vire” w Antwerpii oraz rządu włoskiego, pianistka — Joanna Brzezińska, laureatka „Estrady Młodych” Festiwalu Pianistyk Polki w Słupsku w 1988 oraz Maria Szwajger-Kulańska, znakomita akompaniatorka i kameralistka. Program wieczoru wypełniły utwory Chopina, Karłowicza, Szymanowskiego i Schumanna, i naprawdę było czego i kogo słuchać.

W następną sobotę pojawili się w Lublinie: Małgorzata Lesiewicz-Przybył — sopran, zdobywczyni III nagrody w Międzynarodowym Konkursie Wokalnym im. M. Callas w Atenach, Kazimierz Olechowski — skrzypce, laureat konkursów ogólnopolskich i międzynarodowych, m.in. w Freiburgu, Genewie, Lipsku i Poznaniu oraz akompaniatory: Bożena Bialecka i Janusz Grzelazka.

Do szczególnych atrakcji należała Aria Małgorzaty z III aktu opery FAUST Gounoda i skrzypcowa III Sonata d-moll op 108 Brahmsa. Małgorzata Lesiewicz-Przybył potwierdziła swoje wyjątkowo zgodne z naturą głosu wyszkolenie techniczne, a także umiejętności odnajdywania muzycznych konsekwencji w rozbudowanych formach wokalnych: świadomość rzeczy i muzyczności.

Kazimierz Olechowski należy dziś do ścisłej czołówki polskich wiolinistów. Jego gra, nasycona emocjonalnie, imponująca pod względem warsztatowym, nosi wszelkie znamiona indywidualnej, osobistej. Tak, są sprawy, których nauczy się nie da, jak również takie, które pozostają w sferze czucia, instynktu instrumentalnego. Wspomniała była interpretacja Sonaty Brahmsa, o tyleż dojrzała, że i w partii fortepianu

realizowanej przez Janusza Grzelazkę pulsowało życie i partnerskie współdziałanie.

Wtorkowy koncert w Katedrze Lubelskiej (19 września) zgromadził, jak zwykle, wielu słuchaczy. Państwowa Orkiestra Ukrainy z Kijowa pod dyrekcją Igora Błażkowa nie należy do specjalnie promowanych. Występowała wprawdzie w krajach zaprzyjaźnionych, miała sporadyczny kontakt z Zachodem, ale faktycznie do liderów, przynajmniej tytułarnych, nie należy. Tym więc bardziej zdumiewającym okazał się jej poziom zaprezentowany w dwóch ogólnie znanych (a więc i porównywalnych pod względem wykonawczym) dziełach symfonicznych: CAPRICCIU na fortepian i orkiestrę I. Strawińskiego (z solistką Mariną Drozdową) i VI SYMFONII d-moll „Patetycznej” P. Czajkowskiego. Błask i specyficzny urok muzyki twórcy „Święta wiosny”. Wylewna uczuciowość,

## LUBELSKI WRZESIEŃ MUZYCZNY

Teresa Księżka

porywająca melodyka dzieła Czajkowskiego. Perfekcja w każdym calu. Na taki koncert czeka się latami, a gdy się zdarzy, pamięta długo.

22 września wystąpiła w filharmonii skrzypaczka Beata Warykiewicz wraz z siostrą Ewą, cenioną akompaniatorką oraz kontrabasista Bogusław Furtok. Młodzi soliści dali się już poznać lubelskiej widowni (myślę przede wszystkim o paniach, uczestniczkach naszych festiwali i konkursów), a ich międzynarodowe sukcesy, m.in. w Austrii, Danii, RFN po prostu cieszą. Tak w końcu być powinno: talent plus praca! Niestety, na koncercie nie byłam, choć mówiono mi, że był bardzo udany, zatem z recenzenckiego obowiązku informacja: wykonano utwory Winiawskiego i Bottesiniego.

Zapowiadany na 30 września koncert Orkiestry Symfonicznej FL pod dyrekcją Adama Natanka, wieńczący Lubelski Wrzesień Muzyczny, jednocześnie inauguruje nowy sezon, przez drobny moment „zachwiał się w posadach” — jakkolwiek muzycy wrócili już do swoich domostw.

Alicante w dn. 23 i 24 września), to tabor do późnych godzin nocnych, w przeddzień koncertu, jeszcze był w drodze.

Korzystając z niespodzianie wolnego piątkowego przedpołudnia, złożyłam wizytę szefowi filharmonii Adamowi Natankowi.

Na stoliku kolorowe programy, są też recenzje, jedna — z koncertu, który odbył się 23 września, opublikowa-

na w „Informacion — Alicante Lumes” już 25 września, przełumaczona; czytamy: „Koncert, który cieszył się największym powodzeniem spośród wszystkich, które złożyły się na tegoroczny festiwal, odbył się w sobotę w Auli CAM przy całkowicie zapelnionej sali. Był to wyjątkowy koncert, w czasie którego wszystko znakomicie funkcjonowało — utwory, orkiestra, dyrygent etc”. Cała recenzja pełna jest superlatyw, a to pod adresem muzyków, a to organizatorów, których „sukcesem(!!) jest zaproszenie do udziału w festiwalu zespołu o takiej jakości artystycznej [...] Orkiestra jest zespołem homogenicznym w tym sensie, że wszystkie sekcje instrumentalne mają świetny poziom”.

Powróćmy do samego festiwalu. Odbywał się po raz piąty, zgromadził krytyków, kompozytorów, muzykologów z całej Europy. Jego szefem artystycznym jest Tomasz Marco, kompozytor,

prezes Towarzystwa Muzyki Współczesnej — odpowiednik naszego Augustyna Blocha. A więc impreza elitarna i prestiżowa. Osobny rozdział to fakt, iż ocena występu filharmonii lubelskiej ma swój kontekst niejako krajowy — w Alicante koncertowała już Orkiestra Filharmonii Krakowskiej i WOSPrITV z Katowic. W tym roku w bliskim sąsiedztwie pojawił się Holendrzy (orkiestra radiowa), Hiszpanie i Niemcy.

Atrakcje, o których także warto wspomnieć: loty chanterowe z Warszawy do Alicante (z lądowaniem „atmosferycznym” na Majorce), niebawym komfort hotelu (boson, wyposażenie numerów, posiłki), wreszcie propozycja ponownego przyjazdu w roku 1991. Przypomnijmy także, iż w ciągu roku filharmonia koncertowała czterokrotnie za granicą: w Szwajcji, Włoszech, Francji, Hiszpanii. Z sukcesem.

A koncerty 30 września i 1 października — już na rodzimej estradzie.

Słuchałam produkcji niedzielnej. Z przyjemnością, jak zwykle, słowem wstępny Stefan Młynarski, przesyłał Witolda Lutosławskiego na okoliczność przypadającego tego dnia Międzynarodowego Święta Muzyki. Soliści: duo skrzypcове — Jolanta i Ryszard Osmoliński. I program: „Trzy utwory w dawnym stylu” H. M. Góreckiego, „Koncert d-moll na 2 skrzypiec” J. S. Bacha, „Koncert A-Dur na 2 skrzypiec” A. Vivaldiego i Suita baletowa OCZEKIWANIE A. Blocha.

## INFORMATOR KULTURALNY

### TEATRY

#### W LUBLINIE

**Teatr im. J. Osterwy:** 22.10 godz. 18, 23—25.10 godz. 12, 18 (Scena Duża, ul. Narutowicza 17): „Gałązka rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Kordziński. 18—19.10 godz. 16 (Scena Reduta): „Poobiednie igraszki” Romy Mahieu.  
**Teatr Studyjny:** 19—25.10 godz. 19 (sala BWA, ul. Narutowicza 4): „Dekameron” G. Boccaccia; reż. Miro Prochazka, scen. Vladimir Čap; chor. Frank Towner. Informacje o biletach tel. 71-19-72, 55-37-63.  
**Teatr Lalki i Aktora:** 19—20.10 godz. 10, 12; 21—22.10 godz. 12; 24—25.10 godz. 10: „Ural Batyr” baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Felenczak.  
**Teatr Muzyczny:** 18.10 godz. 19 (Dom Kultury Kolejarskiej, ul. Kumieckiego 35): „Bal w Savoyu” Paula Arhama; reż. Ryszard Zarewicz, 21—22.10, 24—25.10 godz. 19: „Paganini” Ferenc Lehara.

### MUZYKA

#### W LUBLINIE

**Filharmonia:** 20.10 godz. 19, 21.10 godz. 18 — Stabat Mater Karola Szymanowskiego. Orkiestrą Państwowej Filharmonii Lubelskiej dyryguje Adam Natank. Wystąpią: Chór UMCS, Krystyna Szostek-Radkova (mezzosopran), Izabella Kłosińska (sopran), Andrzej Hiolski (baryton).

### WYSTAWY

#### W LUBLINIE

**Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem”** — wystawa pt. „Grypsy więźniów politycznych Zamku Lubelskiego z okresu okupacji”.  
**Muzeum na Zamku** — wystawa pt. „Rosyjskie ikony końca XVIII — początek XX w.”; wystawa poświęcona 50 rocznicy Września pt. „Broń i barwa Wojska Polskiego w roku 1939”.  
**Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34)** — wystawa grafiki, akwafort, rysunków Władimira Romejki.  
**KUL (Aleje Raclawickie 14):** wystawa malarstwa Huberta Damona.  
**Archiwum Państwowe (ul. Trybunalska 13):** wystawa pt. „Lubelski Wrzesień 1939 r. — Społeczeństwo, Wojna, Okupanci”.  
**Filharmonia (foyer)** — wystawa malarstwa Jana Skopa.

#### W BIAŁEJ PODLASKIEJ

**Salon Wystawienniczy Muzeum Okręgowego** — wystawa medalierstwa Zofii Demkowskiej i jej uczniów.  
**BWA** — wystawa malarstwa (zbiory BWA w Białej Podlaskiej).

#### W ZAMOŚCIU

**BWA** — wystawa malarstwa Jerzego Dudy Gracza z Katowic.  
**Galeria Sztuki Współczesnej** — wystawa malarstwa, rysunku i rzeźby Jany Kaczmarczyk pt. „Kresy”.  
**Nowa Siedziba Muzeum Okręgowego (Kamieniec Ormiański 26/28)** — wystawa pt. „Ocalone dla przeszłości” (zbiory poddane konserwacji w latach 1975—1988).

## SCENA PLASTYCZNA KUL W WIELKIEJ BRYTANII

Zespół Sceny Plastycznej KUL odbywa obecnie tournée po Wielkiej Brytanii. Spektakle: „Zielnik”, „Wilgoć” i „Pętanie”. Leszka Mądziaka prezentowane są w ramach Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego „Third Eye Centre” w Glasgow oraz powtarzane dla publiczności w Lancaster, Cardiff, Nottingham i Londynie (w słynnym Institute of Contemporary Arts). Przewidziana jest także realizacja wersji telewizyjnej spektaklu „Pętanie” w Londynie. Tournée trwać będzie do 26 października br.

## Walne Zebranie Towarzystwa Przemysłowo-Handlowego RESURSA KUPIECKA W LUBLINIE ?

15 bm. w sali posiedzeń Wojewódzkiej Rady Narodowej odbyło się Walne Zebranie Towarzystwa Przemysłowo-Handlowego w Lublinie. Tym samym, po rejestracji statutu, uczyniono został drugi krok do stworzenia kolejnej, jednej z wielu już działających w Polsce, samorządowej organizacji prywatnego biznesu.

Wybrano władze organizacji. Na czele 11-osobowej Rady Towarzystwa stanął Stanisław Durzak, wiceprzewodniczącym został Marek Jakubczak. Organem władz wykonawczych jest Zarząd Towarzystwa liczący 7 osób z dr. Lesławem A. Pagą jako prezesem. Wybrano także Komisję Rewizyjną i Sąd Rozjemczy w składzie 5 osób.

Członkowie Towarzystwa przyjęli uchwałę programową i zasady funkcjonowania władz Towarzystwa. Natomiast nieco wątpliwości wzbudził projekt utworzenia Funduszu Rozwoju, który grupowałby środki zgromadzone po odliczeniu z podstawy opodatkowania, wpłaty i depozyty oraz fundusze dewizowe przekazane do Polski z zagranicy w ramach wspierania inicjatyw gospodarczych i rozwoju sektora prywatnego. W dalszej perspektywie mogłyby on być przekształcony w instytucję kredytową.

Kontrowersje wzbudziły głównie komercyjne zasady Funduszu, sposób korzystania zeń i niejednoznaczne przepisy fiskalne konieczne dla jego uruchomienia. Postanowiono zatem, że nowy Zarząd Towarzystwa opracuje statut

Funduszu Rozwoju, a kolejne walne zgromadzenie członków statutu ten zatwierdzi.

W dyskusji, która wywiązała się w drugiej części zebrania, uczestniczyli również goście, wśród nich: przewodniczący WRN w Lublinie, poseł Antoni Pieniążek, senatorowie — Adam Stanowski z Lublina i Andrzej Machalski z Warszawy, a także przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich oraz dyrektorzy lubelskich banków. W wystąpieniach przedsiębiorcy kładli nacisk przede wszystkim na obronę interesów sektora prywatnego, na konieczność zwalczania wciąż istniejących nonsensów w przepisach o podejmowaniu działalności gospodarczej, restrikcyjność fiskusa, ograniczone możliwości kredytowe i dramatyczną sytuację towarzyszącą niszycielskiej inflacji. Natomiast senator Andrzej Machalski, sekretarz generalny Towarzystwa Gospodarczego z Warszawy, podjął w swoim wystąpieniu próbę przedstawienia sposobu podejścia do działalności samorządu gospodarczego. Stwierdził mianowicie, że w obecnych warunkach strategia działania Towarzystwa powinna polegać nie tyle na defensywie, na obronie sektora prywatnego, ile na aktywnym wpływaniu na podejmowane przez rząd rozwiązania, na parciu do przodu, gdyż istniejące przeszkody formalno-fiskalne, jakkolwiek dziś obojętne, tracą na znaczeniu w miarę postępującej restrykcji i powstawania wolnego rynku. Istotnie, wydaje się, że ewolucja polskiego systemu ekono-

micznego stworzy sytuację, w której towarzystwa przemysłowo-handlowe odgrywać będą rolę wpływowego lobby.

„Opowiadamy się — stwierdził prezes Lesław A. Paga — za przetargową formą sprzedaży majątku narodowego; rodnictwo jest zawsze nieracjonalne i demoralizujące. I nie może być mowy o żadnych cichych przetargach. Chcemy z jednej strony reprezentować już istniejący sektor prywatny, z drugiej zaś tych, którzy chcą ryzykować, podejmować działalność gospodarczą, inwestować. Chcemy być pomostem dla tych środowisk, które tracą swoje czapki administracyjne, a chcą się zrzucić na zasady autentycznego samorządu gospodarczego. Będziemy się starać stwarzać prywatnemu biznesowi warunki do podejmowania działalności na dużą skalę i nowoczesnymi metodami”.

Wypada życzyć Towarzystwu Przemysłowo-Handlowemu w Lublinie powodzenia i budynku... Resursy Kupieckiej. Pozostaje pytanie: co z tego będzie miało społeczeństwo? Przypuszczam jednak, że presja na szybką odpowiedź byłaby czynnikiem, który kiedyś pod nogi prywatnemu biznesowi, w Polsce wciąż jeszcze będącemu w stadium embrionalnym. Raczej może odbudujemy wprawdzie to, co szybko i skutecznie zniszczono w tej sferze. Bogactwo państwa z biednymi obywatelami? To się jeszcze nikomu nie udało...

Leszek Wiśniewski

## Czwartek

19 PAŹDZIERNIKA  
PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Glina z wyższych sfer” (3) — „Przedsiębiorczy księgowy” — serial krym. prod. ang.  
10.20 Domator: To się może przydać  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”  
17.15 Teleexpress  
17.30 Polygon — magazyn wojskowy  
17.55 Film dok.  
18.25 Mieszkać — wszechznica budowlana  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 Dt  
20.05 „Glina z wyższych sfer” (3) — „Przedsiębiorczy księgowy” — serial krym. prod. ang.  
21.00 Pegaz  
21.40 Czas — magazyn public.  
22.10 Recital Krystyny Prońko: Tar-gi Jazzowe — Łomża '89  
22.35 Dt — echa dnia  
22.50 Jutro w programie  
22.55 Język angielski (31)

**PROGRAM II**

16.50 Język rosyjski (1)  
17.20 Program dnia  
17.25 Skarby kultury polskiej: Józef Chełmoński  
18.00 Program lokalny  
18.30 Szanghaj — miasto otwarte — reportaż Ryszarda Bójko  
19.00 Magazyn „102”  
19.30 Zielone kino: „Przyroda polska — łąka” — film Joanny Wierzbickiej  
20.15 Rewelacja miesiąca (2): Umberto Giordano „Andrea Chenier” (akt III i IV)  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Elias Canetti — „Wesele”. Reż. Bogdan Hussakowski.  
23.35—23.40 Komentarz dnia

## Piątek

20 PAŹDZIERNIKA  
PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Justyna” — film fab. TVP  
10.25 Domator: Szkoła dla rodziców  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Rambit  
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego  
17.15 Teleexpress  
17.30 Raport — publicystyka międzynarodowa  
17.55 „Dziękujemy wam Polacy” — film dok. Andrzeja Wojnacha  
18.25 Od A do Z  
18.45 Weekend w „Jedynce”  
19.00 Dobranoc: Kret w zoo  
19.10 Monitor rządowy  
19.30 Dt  
20.05 Akademia filmowa: „Z” — film prod. franc.  
22.10 Siedem dni: Kraj  
22.40 Lex — magazyn społeczno-prawny  
23.25—23.40 Dt — echa dnia

**PROGRAM II**

17.25 Program dnia  
17.30 Wrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego  
18.00 Program lokalny  
18.30 Program publicystyki kulturalnej  
18.50 Daniel Olbrychski o Wysockim  
19.30 Dookoła świata: W kraju południa — film o Wietnamie  
20.00 Zespół adwokacki „Dyskrecja”: Żywiol tropiku  
20.50 Brawo: Dyrygenci świata  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Obrażnik” — film dok. o mar-larzu Kiejstucie Bereźnickim

22.10 „Narkomani” — film fab. prod. USA  
23.40—23.45 Komentarz dnia

## Sobota

21 PAŹDZIERNIKA  
PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny  
8.55 Program dnia  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Postrach miasta” (4) — serial prod. ang.  
10.30 Dt — wiadomości  
10.40 Wyprawa pod podszewkę Alp (2): „Na górę, pod górą, pod niebem” — film dok.  
11.15 Bellona — wojskowy program publicystyczny  
11.45 Telewizyjny informator wy-dawniczy  
12.00 Laboratorium  
12.30 Telewizyjny koncert życzeń  
13.00 Telewizyjny Teatr Prozy: Witold Gombrowicz — „Kosmos” Reż. Eugeniusz Korin.  
15.30 Flesz — magazyn muzyczny  
15.55 Komedia, komedia, komedia: „Inspekcja pana Anatola”  
17.15 Teleexpress  
17.30 Portrety: „Kisiel” — film dok. Ignacego Szczepańskiego o Stefanie Kisielewskim  
18.30 Butik  
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola  
19.10 Z kamerą wśród zwierząt  
19.30 Dt  
20.05 „Wielki dzień” — western prod. USA, Reż. Jacques Tourneur  
21.35 Telewizyjny przegląd sportowy  
22.25 Telegazeta i jutro w programie  
22.35 — 0.15 Kino sensacji: „Tony Arzenta” — film prod. wł. Reż. Duccio Tessari. Wyk.: Alain Delon, Richard Conte, Carla Gravina i inni

## PROGRAM II

14.00 Tajemnice japońskiego języka  
14.10 „Ordy” — odc. pt. „Telegraf Morse’a” — film animowany prod. japoń.  
14.35 Meandry architektury: Japońska architektura  
14.55 Spektrum  
15.10 Sztuka origami  
15.15 Japończycy i morze  
15.35 Rozmowa druga z dr. Stanisławem Burzyńskim  
16.00 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych  
16.25 Studio sport  
16.55 Powitanie  
17.00 Kraków na antenie „Dwójki”: Telewizja na życzenie  
17.15 Słowiańska dusza — recital Aloszy Awdiejewa  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Kraków na antenie „Dwójki” (2): Telewizja na życzenie  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Chateauballon” (24) — serial prod. franc.  
22.35 Kraków na antenie „Dwójki” (3): Jeszcze wszystko może się zdarzyć — recital Leszka Wójtowicza  
23.10 — 23.15 Komentarz dnia

## Niedziela

22 PAŹDZIERNIKA  
PROGRAM I

8.55 Program dnia  
9.00 Teleranek a w nim „Janika” (5) — serial prod. TVP  
10.30 Dt — wiadomości  
10.35 Zwierzęta Europy (2) — serial przyr. prod. franc.  
11.05 Kraj za miastem  
11.35 Telewizyjny koncert życzeń  
12.20 Teatr dla dzieci: Tadeusz Kijonka, Katarzyna Gaertner — „Do góry nogami” (cz. 2)  
13.05 Sportowa niedziela  
14.05 Magazyn „Morze”  
14.25 Pieprz i wanilia: Z wiatrem przez świat: W drogę  
15.10 Antena  
15.35 „Panna dziedziczka” (24) — serial prod. brazył.

17.15 Teleexpress  
17.30 Muzyczna telewizja  
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kazora Donalda  
19.30 Dt  
20.05 „Tanamera” — 1 odc. film fab. prod. ang. Reż. Kevin Dobson i John Power  
21.00 Siedem dni: Świat  
21.30 Sportowa niedziela  
21.50 Go — gąską w amfiteatrze — recital zespołu Go - Go's  
22.20 Premiery po latach: „Był taki teatr w Warszawie”  
23.00 Telegazeta i jutro w progra-mie

## PROGRAM II

9.50 Przegląd tygodnia (dla niesły-szących)  
10.25 Film dla niesłyszących: „Tana-mera” (1) — film prod. ang.  
11.15 Dopóki serce bije — wojskowy program public.  
11.45 Jutro poniedziałek  
12.15 Powitanie  
12.20 Polska Kronika Filmowa  
12.30 100 pytań do...  
13.10 Kino rodzinne: „Niebezpieczna zatoka” (13 i 14) — serial prod. kanad.  
14.05 Aktualności kulturalne: Międ-zynarodowe Mistrzostwa Polski w rock and rollu  
14.20 „Polacy” — film dok.  
15.00 Być tutaj — gawęda prof. Wik-tora Zina  
15.15 Podróże w czasie i przestrze-ni: „Baka — Ludzie z dżungli” (1) — film dok. prod. ang.  
16.10 Studio sport  
16.30 Godzina z Przemysławem Gin-trowskim  
17.30 Bliżej świata — przegląd tele-wizji satelitarnych  
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic  
19.30 Galeria „Dwójki”: Zdzisław Beksiński  
20.00 Studio sport: Piłka w grze  
21.00 Od Kuluszek do Wiednia — re-cital Martyny Jakubowicz  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Wojna i pamięć” (9) — serial prod. USA  
22.45 Rozmowa z Danem Curisem, reżyserem serialu „Wojna i pamięć”  
23.00—23.05 Komentarz dnia

## Poniedziałek

23 PAŹDZIERNIKA  
PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Luz — program nastolatków  
17.15 Teleexpress  
17.30 Gorące linie — publicystyka międzynarodowa  
17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Bitwa pod Hastings” — film dok.  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokażę  
19.10 W sejmie i senacie  
19.30 Dt  
20.05 Teatr Telewizji: Michał Ko-mar, Tomasz Zygałło „Kwartet”. Reż. Tomasz Zygałło  
22.30 „Obok nas” — reportaż  
23.00 Dt — echa dnia  
23.20 Język francuski (2)

## PROGRAM II

16.55 Język angielski (2)  
17.25 Program dnia  
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień  
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Spój-nik  
18.00 Telewizyjna Panorama Lu-belska  
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych  
19.10 Gwiazdy jazzu  
19.30 Życie muzyczne — Dni Muzy-ki Organowej i Oratoryjnej w Łodzi  
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub  
20.30 Kino — Oko — kalejdoskop filmowy  
21.15 Gawędy Juliusza Lubicza-Li-sowskiego  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Kino Kawalerowicza” — film dok. Ireneusza Englera  
22.45 Jacek Stwora: Co jest za tym murem?  
23.05 Komentarz dnia

## Wtorek

24 PAŹDZIERNIKA  
PROGRAM I

8.30 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Akwen Eldorado” (1) — serial TVP  
10.20 Domator: Rady na życzenie  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak  
16.45 Kino Tik-Taka: „Cudowna po-dróż” (42) — serial animowany prod. austriackiej  
17.15 Teleexpress  
17.30 Spojrzenia: Afganistan  
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka  
18.15 Mozaika narodowości — „Haj-nówka: Portret miasta”  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Wesołe przygody Pi-ka, Kwika i wieloryba Grubaska  
19.10 Trudne powroty — program public.  
19.30 Dt  
20.05 „Akwen Eldorado” (1) — serial TVP. Reż. Andrzej Swat.  
21.00 Spotkania satyryczne — Krzy-sztof Piasecki  
21.40 Zawsze po 21-szej  
22.20 Dt — echa dnia  
22.40 Język rosyjski (2)

## PROGRAM II

16.55 Język angielski (32)  
17.25 Program dnia  
17.30 Klub ludzi z przeszłością  
18.00 Program lokalny  
18.30 „Zakopiańskie Święto Witkace-go” — reportaż  
19.30 Z wiatrem i pod wiatr — ma-gazyn żeglarski  
20.00 Non stop kolor — magazyn  
21.00 „W kręgu sztuki” — „Dzieje fotografii” (3) — serial dok. prod. ang.  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio Solidarność  
22.30 „W starym dworku, czyli nie-podległość trójkątów” — film fab. prod. pol. Reż. Andrzej Kotkowski  
0.05 Komentarz dnia

## Środa

25 PAŹDZIERNIKA  
PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Bezpośrednie połączenie” — film TVP. Reż. Juliusz Machulski.  
10.15 Domator  
16.10 Program dnia i Telegazeta  
16.15 Dla młodych widzów: SOS — sami o sobie  
16.30 Dla dzieci: Cojak  
16.55 Studio sport: Eliminacje do Mistrzostw Świata — Italia '90 (meczw. Polska — Szwecja)  
ok. 17.45 Teleexpress (w przerwie meczu)  
18.50 10 minut  
19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gąbki  
19.10 Oferty Pegaza  
19.30 Dt  
20.05 Wojna i film: „Młodość nie-ujarzmiona” — film prod. NRD  
22.35 Dt — echa dnia  
22.55 Język angielski (2)

## PROGRAM II

16.55 Język francuski (2)  
17.25 Program dnia  
17.30 Wiem wszystko — teleturniej  
18.00 Telewizyjna Panorama Lu-belska  
18.30 Piccolo Coro dell' Antoniano cz. 2  
18.55 Hotel „Zacisze” (3) — serial prod. ang.  
19.30 Turcja — program dok.  
20.00 Klucz do nowej muzyki — o twórczości Eugeniusza Knapika  
21.00 „Syberyjskie spotkania” — re-portaż Stanisława Kostrzewy  
21.30 Panorama dnia  
21.45 997 — kronika kryminalna  
22.45 „W labiryncie” — serial TVP  
23.15 Komentarz dnia

## relacje



ADRES REDAKCJI  
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2  
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY  
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY  
• 205-34 • SEKRETARZ REDAKCJI  
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE

## ZESPÓŁ

EWA CZERWINSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSŁAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY)  
ZBIGNIEW DZIECIOŁEK • WIESŁAW HORABIK • VIOLETTA KRASNOWSKA • HENRYK PAJAK • ANDRZEJ W. PAWLUCZUK  
WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ  
REDAKCJI) • WALDEMAR STEPIEN (FOTOREPORTER) • LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-C.A. REDAKTORA NACZELNEGO)  
IZABELLA WŁAZŁOWSKA WSPÓŁPRACOWNICA • MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA • KRZYSZTOF LAMCH  
KORREKTA BARBARA CABAN MASZYNOPISANIE BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLUS • SEKRETARIAT ANNA  
WOJCIWICZ TRANSPORT GRZEGORZ BORZECKI

## WYDAWCA

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

## DRUK

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa Książka Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

Zam. 1501/89. B-4.

## LIST Z CHEŁMA

JESTEM stałym czytelnikiem „Relacji”, a także żarliwym ich propagatorem. W „Tygodniku Wschodnim” widzę wspartego przyjaciela i godnego przewodnika na drodze odnowy. Dziękuję zespołowi redakcyjnemu za ambitną postawę w redagowaniu wspianego pisma. Wasz trud. Drodzy Redaktorzy, nie idźcie na marne, wręcz przeciwnie, przynosi Czytelnikowi niewymierne korzyści. Tak trzymać!

Jako pospolity zjadacz chleba z ciężkim trudem vegetujący w naszych obojętnych ciężkich czasach, cieszę się, że wreszcie mogę wziąć do ręki prawdziwe, godne uwagi pismo. Ale mimo szczerych pochwał, mam także sporo uwag. Panowie! Do diaska zróbcie coś, by Wasz tygodnik można było czytać. Czytelnik płacąc tak wysoką kwotę (150 zł polskich za numer!) pragnie być w pełni usatysfakcjonowany, a tymczasem... Tymczasem niektóre numery „Relacji” są absolutnie nieczytelne, a prawie we wszystkich sporo stron nie daje się odczytać nawet przy zastosowaniu lupy. Za co więc płacimy, za makulaturę? Jeżeli tak, to zdaje się, że nieco za drogo. Na Boga, uczyńcie coś, nie denerwujcie cierpliwych Czytelników!

Czytając „Relacje” (od deski do deski!) nasuwa mi się nie tylko sporo uwag, ale także i propozycje, z którymi chciałbym się podzielić z Czytelnikami, a także zachęcić Redakcję do dalszych posunięć związanych z likwidacją tzw. białych plam. Nie chodzi mi o jakąś nazwijmy to „wywrotową robotę”, ale o przekazanie szerszemu ogółowi szczerą prawdę, prawdę, na którą czekaliśmy długich czterdziści lat, bowiem historia nie znośi zakłamania i niedomówień. Historia lubi prawdę.

Jeżeli chodzi o uwagi na temat redagowania „Relacji” (proszę mi wybaczyć otwartość), to temat nurtujący nie tylko mnie, ale także większość Czytelników. Uważam, że w Waszym tygodniku wiele tekstów nie powinno się znaleźć, po prostu nie pasują swą tematyką do tak poważnego pisma. I tak na przykład: „Fizyk w Gandawie”, „Notatnik angielski”, „Mamo, dlaczego zabiłaś...”, „Polmos przed sądem”, a także „sądowe” teksty H. Makarskiego. Takie i tym podobne materiały, powinny się znaleźć w prasie codziennej. Poza tym uważam, iż program TV zajmujący aż jedną kolumnę druku,

jest zgoła niepotrzebny, bowiem takowe można znaleźć w każdym dzienniku piątkowym. Kolumnę tę proponuję zapłacić recenzjami książek, nowych filmów, sztuk teatralnych itp., albo po prostu ciekawymi wywiadami z twórcami naszego regionu. „Relacje” nie zdobędą czytelnika programem TV i nie przyniosą sobie popularności, po czytność uzyskają jedynie poprzez dobór i publikowanie ciekawych tekstów.

Moim zdaniem za mało pisze się o sprawach całego nadbużańskiego regionu. A przecież „Relacje” noszą znamienne nadtytuły „Tygodnik Wschodni”, więc to zobowiązuje do traktowania tematu szerzej niż dotychczas. Dość, jak to zauważyłem, „Relacje” po-

## O „RELACJACH” SŁÓW KILKA

ruszały prawie wyłącznie tematykę lubelską, a winny — i to od zaraz! — zająć się problematyką białkopodlaską, chełmską i zamojską. Zespół redakcyjny jest mocny i odważny, więc powinien likwidować białe plamy w całym regionie środkowo-wschodnim. Alea iacta est — mówi łacińska formuła. A jeżeli już kości zostały rzucone, więc należy uporczywie szukać rzeczywistej prawdy. (...).

Jeżeli już jestem przy głosie, zwracam się z prośbą do dziennikarzy skupionych w zespole „Relacji”, by zajęli się likwidacją białych plam w moim województwie. A plam tych w Chełmskiem jest wiele. Chcemy znać rzeczywistą prawdę o walkach żołnierza polskiego, stoczonych we wrześniu 1939 roku z wojskami radzieckimi, które wbiły nóż w plecy armii polskiej, przyspieszając w ten sposób likwidację naszych walczących z hitlerowskim wojskiem i upadek Rzeczypospolitej. Pragniemy także znać prawdę o działalności nacjonalistów ukraińskich podczas kampanii wrześniowej i w czasie długoletniej okupacji hitlerowskiej. Wiemy, że wielu Ukraińców kolaborowało z Niemcami, wyrządzając Polakom sporo poważnych krzywd. Pamiętamy, iż Chełm był siedliskiem ukraińskiego nacjonalizmu, który promieniował na cały środkowo-wschodni rejon nadbużański. Tutaj też powstała i prowadziła swą barbarzyńską działalność ukraińska „Czarna Sotnia”, zwana także od jej

głównych założycieli „Koszczałkowcami”. Miejsce powstania kolaborującego z okupantem oddziału i jego miejscem postoju były Leśniowice. „Czarna Sotnia” nieźle dała się we znaki ludności polskiej, represjonowała ją i mordowała. Uzbrojony po zęby przez Niemców oddział patrolował Chełmszczyznę, poruszając się taborem konnym dniem i nocą. Odczuło to na własnej skórze społeczeństwo chełmskie. „Czarna Sotnia” ochraniała także obóz pracy w Krychowcu, gdzie odsiadywali swoje kary chłopcy, którzy nie wywiązali się z nałożonego przez okupanta kontyngentu, a także — jak chodzą słuchy — pełniła przez pewien czas służbę w obozie zagłady Żydów w Sobiborze. Ta-

dziła się w domu jednego z mieszkańców Olszanki, który znany był ze swych nacjonalistycznych poglądów. Myślę, że i ta sprawa nie powinna być „Relacjom” obojętna.

Okres bratobójczych walk po wyzwoleniu, szczególnie nurtuje mieszkańców Chełmszczyzny. Pragniemy poznać dogłębnie prawdę o działalności aparatu stalimowsko-bierutowskiego: NKWD i UB, prawdę o bestialskich mordach dokonanych na oficerach polskich z AK i BCh, patriotach i inteligencji, a także o postępowym chłopstwie, o zsyłce Polaków na Sybir i do licznych łagrów, o torturach niewinnych. Sprawy te były do dzisiaj wielkim tabu, stąd też czas najwyższy, by wydobyć je na światło dzienne.

Dalej. Społeczeństwo chce znać także prawdę o mordzie w Wierchowinach. Dowiedzieć się, na jakim tle doszło do tej potwornej masakry mężczyzn, kobiet i dzieci ukraińskich. Na czyje polecenie dokonano tej zbrodni, jaka organizacja brała w tej akcji udział. Czas ujawnić, czy było to zagrażające ludności polskiej siedlisko nacjonalizmu ukraińskiego, czy też tylko i wyłącznie zemsta Polaków za morderstwa dokonane na ludności polskiej na terenach zabużańskich. A jeśli tak, to dlaczego wymordowano dzieci?

Zapraszamy więc Redaktorów „Relacji” do zajęcia się tymi i tym podobnymi sprawami. Zasygnalizowałem za ledwie kilka wydarzeń, a przecież jest ich o wiele więcej. Czas nagli, ponieważ dokumenty zalegające dobrze strzeżone sejfy, mogą się „zapodziać”, wówczas białe plamy rzeczywiście staną się białymi plamami.

Wracając do profilu „Relacji” marzeniem moim jest, by został nieco zmieniony. Jeżeli Redakcja pragnie, by jej pismo stało się bardziej popularne, musi się zająć całym regionem, dotrzeć tam, dokąd miłkt dotąd jeszcze nie dotarł, wydobyć to, co jeszcze jest objęte tajemnicą.

Po zakończeniu swoich wywodów o „Relacjach”: pragnę, aby Redakcja poszerzyła także tematykę. Czy nie warto by było, aby na łamach tygodnika znalazły się wiersze i opowiadania mówiące o powyższych sprawach? Pisarze i poeci są bardzo wrażliwi na wspomniane tematy, więc warto pójść im na rękę i publikować co ciekawsze teksty. Przyniesie to „Relacjom” jeszcze większą popularność, a Czytelnikom pełne zadowolenie.

Kazimierz Eugeniusz  
Steszuk

## AD VOCEM

OKRĄGLY stół, znany dotychczas głównie w stosunkach międzynarodowych (konferencje okrągłego stołu), stał się u nas pojęciem obiegowym. Rozumie się pod tym określeniem znane wydarzenie polityczne, które zapewne pod tą też nazwą przejdzie do historii politycznej Polski.

## OKRĄGLY STÓŁ

Co jednak w ogóle oznacza „okrągły stół” i dlaczego okrągły? Rodowodu należy szukać w głębokiej starożytności. Otóż Auzoniusz (pisarz rzymski z IV wieku n.e.) podaje, że do wyroczeni delfickiej zwrócono się z pytaniem, w jakiej kolejności należy zapisać nazwiska sławnych siedmiu mędrców greckich. Bóg delficki (delphicus deus, jak pisze Ausonius) odrzekł, że niedorzecznością jest pytać o ich hierarchie, wszyscy oni są bowiem sobie równi. Wpisać należy zatem, orzekła wyroczenia, ich imiona w okrąg, wskutek czego pozycja każdego z mędrców będzie taka sama — ani pierwsza, ani ostatnia.

Idea okrągłego stołu wywodzić się zaś ma od legendarnego króla Brytów — Artura, który zmęczony, postawionymi kłotniami swych rycerzy o to, w jakiej kolejności mają zająć miejsce przy stole, usadził ich przy stole okrągłym tak, że wszyscy byli miejscem równi. Czy znał delficką decyzję, trudno powiedzieć.

Znał ją natomiast zapewne nieznanym rzymski testator, który imiona wy-

zwalanych w testamencie niewolników zapisał w formie koła, aby obejść w ten sposób ustawowy zakaz przekraczania określonej liczby wyzwoleń. W jego testamencie nie sposób było ustalić, który niewolnik wyzwolony jest jako pierwszy, by odliczyć następnie dozwoloną liczbę wyzwoleń. Testament został uznany za sprzeczny z ustawą i nieważny, co w każdym razie można przyjąć jako historyczną naukę, że „nawet „okrągłe” metody nie mogą służyć do obejścia prawa.

Arcus M.

W numerze 41. opublikujemy:

- BOGACTWO PODŁASIA ● TYGIEL W W KRAŚNICKICH „ŁOŻYSKACH” ● BIAŁA PODLASKA - RAPORT O...
- PRZETARG ROLNICZEGO DEMOBILU ● ŻYD Z POLSKI ● GORĄCE WILNO

## MUZYKA I MEDYCyna

ZAPEWNE nie bez powodów starożytni Grecy czcili Apollina jako patrona muzyki oraz równocześnie jako uzdrowiciela chorób ciała i duszy. Dzisiaj również możemy zaobserwować pewne zbliżenie obu tych dyscyplin: muzyki i medycyny. Dokonuje się ono w obrębie dziedziny zwanej muzykoterapią.

Zastanówmy się, na czym może polegać lecznicze działanie muzyki. Otóż na zjawisko dźwięku składają się określone vibracje, odbierane za pośrednictwem receptorów słuchu. Zakres oddziaływania zwiększa się znacznie, gdy całe kompleksy dźwiękowe docierają do organizmu w ciągu dłuższego czasu.

Najistotniejszym jednak elementem leczniczym jest zdolność muzyki do wywoływania silnych wzruszeń, emocji czy wrażeń estetycznych. Cecha ta już przez starożytnych określana była mianem katharsis, czyli oczyszczenia emocjonalnego. Istotą tego zjawiska jest wyzwolenie określonych trwałych stanów emocjonalnych i równoczesne zablokowanie emocji niekorzystnych.

Literatura muzyczna dostarcza tak wielu różnorodnych pod względem charakteru przykładów, że nieomal każdy człowiek może coś dla siebie znaleźć. Problem może polegać na określeniu, które utwory wydają się w danej sytuacji odpowiednie oraz na uzyskaniu możliwości ich przesłuchania w możliwie najkorzystniejszych akustycznie warunkach.

Czy znaczy to, że szpitale i przychodnie staną się salami koncertowymi? Raczej nie, gdyż muzyka jest tylko jednym ze środków leczniczych, i to w określonej grupie chorób psychicznych. Pomimo to dla lekarzy nie jest tajemnicą, jak znaczny wpływ na przebieg choroby ma stan psychiczny pacjenta.

Należy dodać, że liczba specjalistów z tej dziedziny jest obecnie w Polsce znikoma. Kilka lat temu zamknięto z przyczyn oszczędnościowych jedyny w kraju kierunek muzykoterapii przy wrocławskiej Akademii Muzycznej. Brakuje należytej aparatury, nagrań oraz warunków odsłuchu.

Potencjalnych pacjentów należy przestrec przed odbiorem pozycji niewłaściwych oraz przedawkowaniem muzyki. Nie ma nic gorszego, niż słuchanie utworów, które nie wywołują pożądanych skutków lub też wpływają na zaistnienie efektów przeciwnych do zamierzonych. Stąd też najlepszym sprawdzianem adekwatności jest pozytywne nastawienie emocjonalne odbiorcy do utworu.

Czy wobec tego sami muzycy są okazami zdrowia? W tym celu należałoby, jak sądzić, przeprowadzić stosowne badania specjalistyczne. Prawdą jest jednak, że muzycy należą zazwyczaj do ludzi tryskających humorem, co jest niewątpliwie przejawem równowagi psychofizycznej, a w rezultacie zdrowia.

Można mieć nadzieję, że odbiorcy muzyki, przeżywający autentyczne wzruszenia, przyczyniają się do poprawy własnej kondycji zdrowotnej. Do słuchania muzyki należy zachęcać również ludzi, którzy dotychczas nie mieli takiego zwyczaju. Bywa tak, że drobna z pozoru zmiana trybu życia może przywrócić człowiekowi zdrowie i dobre samopoczucie. Jestem przekonany, że w erze środków masowego przekazu, zwłaszcza zaś radia i płyt gramofonowych, każdy potrafi znaleźć coś odpowiedniego do własnych potrzeb.

Mariusz Dubaj